

# Sztandar Ludu

Organ Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Lublinie

ROK IX, Nr 173 (2316).

LUBLIN, ŚRODA 22 LIPCA 1953 r.

CENA 20 gr

## Święto Odrodzenia

Dziewięć lat mija od chwili, gdy z pierwszego skrawka wyzwolonej ziemi ojczystej popłynęły na całą Polskę słowa Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, który stał się programem narodu polskiego. Dziewięć lat. Jakże krótki okres czasu w historii narodu, a jakże długi, jakże przełomowy, jeżeli mierzyć go miarą przemian, jeżeli mierzyć go miarą wszystkiego co dokonało się i dokonuje się na ziemi polskiej, miarą tego, czym jest dziś nasza ojczyzna w porównaniu z tym, czym była przed wojną.

Co zdecydowało o tym, że z kraju, który był kopcuszkim światem kapitalistycznym, z kraju o zacofanym rolnictwie i zacofanym przemyśle, przekształciliśmy się w kraj tysięcy kominów fabrycznych, w kraj, który wysunął się na pierwsze miejsce w Europie, jeśli chodzi o produkcję przemysłową, w kraj wciąż rosnącej wydajności rolnictwa, kraj, w którym coraz pełniej realizowane jest prawo maksymalnego zaspokajania potrzeb materialnych i kulturalnych całego społeczeństwa?

Co zdecydowało o tym, że z kraju o papierowej suwerenności, z kraju, który był jednym z pionków na szachownicy polityki międzynarodowej mocarstw imperialistycznych przekształciliśmy się w kraj, który przestał być biednym, bezbronnym i niezadającym, w kraj, który zajmuje zaszczytne miejsce w świecie, w kraj, który jest ważnym ogniwem światowego obozu pokoju i socjalizmu, w kraj, którego polityka zyskała mu sympatię i szacunek wszystkich narodów?

Co zdecydowało o tym, że z kraju milionów analfabetów przekształciliśmy się w kraj, w którym w zasadzie nie ma człowieka nie umiejącego pisać i czytać, w kraj milionowych nakładów książek trafiających do najbardziej nawet odległych wsi?

U źródeł tych epokowych przemian leży historyczne zwycięstwo oręża radzieckiego nad faszyzmem, zwycięstwo, które przywróciło Polsce jej przastare ziemie nad Odrą, Nysą i Bałtykiem, które umożliwiło ludowi polskiemu ujęcie władzy w swe ręce. U źródeł tego przełomu w życiu naszego narodu leży bohaterska, nieugięta walka pokoleń polskich rewolucjonistów, walka najlepszych synów narodu polskiego, jego klasy robotniczej. To ona, kierowana przez swą partię, wczoraj Komunistyczną Partię Polską, później Polską Partię Robotniczą, dziś pod przewodnictwem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej prowadzi naród polski drogą niepodległości, drogą umacniania wieczystego sojuszu i nierozdzielnej przyjaźni z najpotężniejszym mocarstwem świata — Związkiem Radzieckim, ostoją naszej niepodległości i wolności, ostoją światowego pokoju.

Pod przewodnictwem klasy robotniczej, umacniając w walce i pracy sojusz robotniczo-chłopski, fundament

władzy ludowej naród polski przeprowadził reformę rolną i nacjonalizację przemysłu. I dziś krocząc drogą socjalistycznego uprzemysłowienia kraju, drogą socjalistycznej przebudowy wsi odnosi wspaniałe, na miarę historyczną zwycięstwa, przekształca oblicze swej niegdyś zacofanej Ojczyzny.

Raz na zawsze minęła hańba bez-

pokojone tym rozwojem sytuacji usiłują za wszelką cenę stordedować możliwości pokojowego uregulowania spornych spraw, wzmagając jednocześnie prowokacyjną i dywersyjną działalność wymierzoną przeciwko obozowi pokoju i demokracji, przeciwko jego sile przewodniej — Związkowi Radzieckiemu. W strachu przed „niebezpieczeństwem pokoju”

aktywizują swe zakonspirowane agentury. Wyrazem tego była aktywizacja zbrodniczej, dywersyjnej i kapitulacyjnej działalności Berii, wymierzonej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i jego okrytej chwałą partii, przeciwko obozowi pokoju i demokracji. Była to działalność, która godziła również w nasze pokojowe budownictwo, w szczęście i siłę naszego narodu.

Wrogom pokoju, wrogom narodu polskiego, odwetowcom z Bonn i ich amerykańsko-watykańskim protektorom, czyhającym na nasze ziemie i na naszą niepodległość, organizatorom nieczemnych prowokacji, naród polski odpowiada zaostreniem czujności wobec kno-wań wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, dalszym zacieśnieniem więzów przyjaźni i solidarności z wielkim Związkiem Radzieckim, z krajami demokracji ludowej, z wszystkimi narodami walczącymi o pokój. Odpowiadamy umocnieniem sojuszu robotniczo-chłopskiego, umocnieniem i rozszerzeniem naszego frontu narodowego w walce o pokój i Plan 6-letni.

Naszej walce i pracy przewodzi czołowa siła narodu polskiego — Polska Zjednoczona Partia Robotnicza uzbrojona w nieśmiertelne nauki Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina, uzbrojona w oręż wskazań XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. To Partii zawdzięczamy sukcesy, które odnosimy na każdym odcinku naszego życia. To ona wskazuje nam jak walczyć o szczęście i dobrobyt narodu na rusztowaniach wielkich budowli socjalizmu, w naszych fabrykach i na naszych polach. To ona świadoma, że człowiek jest najcenniejszym kapitałem nowego ustroju — socjalizmu, na każdym kroku podkreśla, iż troska o ludzi pracy, o ich dobrobyt, o maksymalne zaspokajanie ich potrzeb materialnych i kulturalnych winna być myślą przewodnią wszystkich naszych poczynań. Umacniając granitową podstawę władzy ludowej sojusz robotniczo-chłopski partia otacza troską masy pracujące wsi, nie szczędzi wysiłków, by przyjąć z pomocą malarolnym i średniorolnym chłopom, by dać im z każdym rokiem więcej nawozów sztucznych i maszyn, by ich praca była bardziej wydajna, by maszyna coraz bardziej uwalniała ich od ciężkiego trudu.

Tegoroczne Święto jest zarazem pierwszą rocznicą uchwalenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — Wielkiej Karty Narodu Polskiego, w której znalazła wyraz nasza walka o socjalizm, nasze umiłowanie pokoju i wolności.



silności naszego kraju. Jesteśmy silni jak nigdy dotychczas w swej historii. Po raz pierwszy granice naszego kraju są granicami przyjaźni i pokoju. Mamy na naszych granicach kraje sojusznicze związane z nami wspólną walką o wspólne cele. Ale zdajemy sobie sprawę na podstawie codziennych doświadczeń, na podstawie chociażby ostatnich wydarzeń, że dopóki istnieje imperialistyczne otoczenie, że dopóki działają w świecie siły wojny i grabieży, dopóty obowiązują nas czujność wobec wszelkich prób dywersji, prowokacji.

Jesteśmy jedną z brygad szturmowych największego, najpotężniejszego ruchu wszystkich czasów — ruchu w obronie pokoju. Nasze pokojowe budownictwo służy sprawie utrwalenia pokoju światowego, nie tylko dlatego, że każde osiągnięcie, każda nowa tona stali, węgla, cementu zwiększa bazę materialno-gospodarczą i obronność obozu pokoju. Również dlatego, że nasze osiągnięcia wskazują narodom krajów kapitalistycznych drogę walki i zwycięstw są dla nich bodźcem do wzmocnienia walki o pokój i wyzwolenie społeczne.

Tegoroczne Święto Odrodzenia obchodzimy w warunkach dalszego spotęgowania się walki setek milionów ludzi o pokój, porwanych potężną inicjatywą pokojową rządu ZSRR na rzecz rozładowania napięcia międzynarodowego i rozstrzygnięcia spornych spraw w drodze rokowań. Najbardziej awanturnicze ugrupowania imperialistyczne zanie-



**»Budujemy Polskę, budujemy socjalizm jako lepszy i sprawiedliwszy ustrój społeczny. Nie było jeszcze w dziejach Polski równie wzniosłej sprawy, równie wzniosłego zadania.. Poznać, zrozumieć i poświęcić życie tej wielkiej sprawie — oto nasz cel, oto najsłabsze i najpiękniejsze zadanie dzisiejszego pokolenia.«**



# Pod sztandarem naszej Konstytucji

Rok temu w Warszawie rozbrzmiewającej dźwiękami złotych pieśni, w stolicy pięknej blaskiem wspaniałych gmachów MDM-u Sejm uchwalił Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wiele jest w naszych dziejach uroczystych dat i pamiętnych dokumentów. Wśród nich dzień 22 lipca 1952 roku zapisał się złotymi zgłoskami a nasza Konstytucja stała się dokumentem nieprzemijającej historycznej doniosłości, dokumentem narodowej chwały.

Miliony obywateli miast i wsi przyjęli uchwalenie wielkiej karty zwycięskich osiągnięć i praw narodu jako wydarzenie radosne, napawające każdego Polaka dumą. Stało się tak dlatego, że nasza Konstytucja jest wyrazem potrzeb i dążeń całego narodu, że odzwierciedla nasze wspaniałe zdobycze, że utrwała ona głębokie polityczne, gospodarcze i społeczne przemiany, jakie dokonały się w naszej Ojczyźnie.

Minął rok od pamiętnego dnia uchwalenia Konstytucji. W ciągu tego roku ofiarą pracą milionów ludzi miast i wsi zwiększiliśmy potencjał gospodarczy naszej Ojczyzny. Wielkimi krokami idzie budowa Nowej Huty, huty im. Bolesława Bieruta, kombinatu kędzierzyńskiego i dziesiątków innych wielkich obiektów przemysłowych Sześciolatki. Na bazie nowoczesnej techniki budujemy nowe gałęzie gospodarki narodowej, rozbudowujemy przemysł lekki, by coraz lepiej zaspokajać potrzeby ludzi pracy, przekształcamy naszą wieś z zacofanej w przodującą. Podnosi się poziom naszej gospodarki rolnej. Mamy już około 8 tys. spółdzielni produkcyjnych. Świadczy to o wejściu naszej wsi na drogę budownictwa socjalistycznego. Nasza praca dla ojczyzny, dla pokoju toczy się w ostrej walce z wrogiem klasowym, z wrogiem wewnętrznym i zewnętrznym. Usiłuje on szkodzić, usiłuje zahamować nasze pokojowe socjalistyczne budownictwo. Tym mocniej zwieramy szeregi Frontu Narodowego, tym czujniej śledzimy działalność sił wrogich naszej Ludowej Ojczyźnie.

W oparciu o wskazania historycznego XIX Zjazdu KPZR i genialnej pracy Towarzysza Stalina „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR” — wzrosła świadomość szerokich rzesz ludzi pracy. Naród nasz coraz lepiej rozumie jak nieodłączne są nasze wewnętrzne sprawy od tego co się rozgrywa na arenie międzynarodowej, coraz lepiej rozumie, że obowiązkiem każdego Polaka, każdego patrioty kochającego kraj rodzinny jest rewolucyjna czujność wobec wrogów pokoju i demokracji, walka przeciwko imperialistycznym siewcom wojny.

Rok, który minął od uchwalenia Konstytucji, znaczy sukcesami we wszystkich dziedzinach naszego życia społecznego i osobistego. Przyjrzyjmy się niektórym z nich.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej dała nam prawo do pracy. W ciągu minionego roku powstało wiele nowych obiektów przemysłowych. Poważnie wzrosły szeregi pracowników transportu i handlu. Wzrost zatrudnienia wyniósł w 1952 roku około 300 tys.

Konstytucja zapewniła nam prawo do wypoczynku. Każdy człowiek pracy korzysta z płatnego urlopu, 500 tys. robotników i pracowników spędza urlopy w pięknych miejscowościach nadmorskich, w górach, nad jeziorami. Nasze miasta i wsie wzbogaciły się w setki nowych domów kultury i świetlic. Dumą Śląska staje się wspaniały Park Kultury i Wypoczynku, Warszawski Park Kultury coraz bogatszym pasem zieleni rozciąga się na brzegu Wisły. Setki milionów złotych przeznaczaliśmy na budowę wspaniałych stadionów sportowych, boisk i basenów.

Oto jak władza ludowa urzeczywistnia nasze prawo do wypoczynku.

Realizujemy program Frontu Narodowego rozbudowując sieć ślednioklasowych szkół podstawowych. Nie szczędzimy sił i funduszy, by w ciągu najbliższych lat wszystkie dzieci z większych ośrodków przemysłowych i dużych miast były objęte nauczaniem na poziomie średnim. Ostatnio ilość uczniów korzystających z burz zwiększyła się o 30 tysięcy. W minionym roku akademickim mieliśmy o 11 tys. studentów więcej niż w roku poprzednim. Spośród 136 tys. młodzieży studiujecej na wyższych uczelniach, więcej niż połowa otrzymuje stypendia. Powiększyła się sieć szkół dla dorosłych;

obejmują one coraz więcej słuchaczy.

Tak Polska Rzeczpospolita Ludowa urzeczywistnia nasze prawo do nauki i oświaty.

W miastach i wsiach budujemy coraz więcej szpitali, ambulatoriów, ośrodków zdrowia. W tym roku w porównaniu z rokiem ubiegłym mieć będziemy o 15 proc. więcej miejsc w sanatoriach, o 45 proc. więcej miejsc w domach zdrowia dziecka. Wyrazem troski państwa o ochronę zdrowia robotników zatrudnionych w produkcji jest znaczne zwiększenie nakładów na bezpieczeństwo i higienę pracy.

Oto rzeczywiste prawo do ochrony zdrowia obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Dzięki codziennej, ofiarnej pracy milionowych mas polskiego ludu, dzięki temu, że praca ta, praca dla siebie, praca na swoim jest sprawą zaszczytu i honoru każdego Polaka, mogliśmy rozszerzyć prawa dane nam Konstytucją i będziemy je nadal rozszerzać, pogłębiać.

Jak najściślejsze przestrzeganie praw zagwarantowanych obywatelom Konstytucją oraz jak najdokładniejsze wypełnianie przez obywateli obowiązków nałożonych na nich Konstytucją — jest niewzruszoną zasadą praworządności. Wynika to z ducha naszej Konstytucji, wzorującej się na najbardziej demokratycznej konstytucji świata — Konstytucji ZSRR. Przestrzeganie ludowej praworządności jest obowiązkiem zarówno wszystkich obywateli, jak i wszystkich organów władzy.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nakłada na nas obowiązek troski o przestrzeganie praworządności, nakazuje nam zachowanie rewolucyjnej czujności, nakłada na nas patriotyczny obowiązek stałego umacniania władzy ludowej.

„Nasza Konstytucja — mówił na VII Plenum Towarzysz Bierut — nakazuje nam umacnianie państwa ludowego, jako podstawowej siły, zapewniającej najpełniejszy rozkwit narodu polskiego, jego niepodległość i suwerenność”. „Najważniejszym czynnikiem siły i potęgi naszego państwa ludowego jest wartość naszego narodu, zwartość Frontu Narodowego, gorący patriotyzm mas i jak najaktywniejszy ich udział w rządzeniu państwem”.

Jedną z podstawowych form udziału najszerszych rzesz ludu pracującego w rządzeniu państwem są terenowe organa władzy ludowej,

radę narodowe. Wybory do rad narodowych, które odbędą się w najbliższych miesiącach — będą wyrazem dalszego wcielania w życie przepisów naszej Konstytucji, będą wyrazem dalszej demokracji wлады ludowej, na drodze jeszcze ściślejszego powiązania jej z masami pracującymi. Rady narodowe, które powstaną z wyborów wciągną nowe miliony ludu pracującego do rządzenia państwem, dzięki pracy rad narodowych umocniona zostanie praworządność ludowa, nasze państwo. nasz ustroj demokracji ludowej, będący formą dyktatury proletariatu.

Minął rok od uchwalenia Konstytucji, wielkiej karty wolności mas ludowych. Przestrzeganie wszystkich artykułów Konstytucji przez wszystkich obywateli jest najlepszą rękojmią stałego wzrostu sił naszej ojczyzny i dobrobytu mas ludowych, jest rękojmią stałego wzrostu sił naszego państwa, Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.



Chłopi pracujący realizują swe zobowiązania na cześć Święta Odrodzenia. W całym kraju, a w tym i na wsi lubelskiej trwa wyjątkowa praca.

# Dwa turbozespoły Jaworzna II rozpoczęły pracę

JAWORZNO (PAP) — 19 bm. w przededniu Święta 22 Lipca — 9 rocznicy Wyzwolenia i I rocznicy uchwalenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej rozpoczęły pracę dwa potężne turbozespoły sztabdarowej budowlanej energetyki, silowni - giganta Jaworzna II. I etap budowy silowni Jaworzna II został zakończony.

Uroczystość uruchomienia dwóch pierwszych, najpotężniejszych w kraju turbozespołów była wielkim świętem załogi elektrowni i ludności Jaworzna — miasteczka, które socjalistyczna Sześciolatka przeobraża w nowy ośrodek przemysłowy.

Na uroczystość przybyli witani długo niemilkającymi oklaskami członek Rady Państwa — Matuszewski, wiceprezes Rady Ministrów Jaroszewicz, przewodniczący CRZZ — Kłosiewicz, minister górnictwa — Nieszporek, kierownik Wydziału Przemysłu Ciężkiego KC PZPR — Łopot, wiceminister budownictwa przemysłowego — Pietrusiewicz, sekretarz KW PZPR w Krakowie — Gabara i przewodniczący krakowskiej WRN — Dobieszak.

Serdecznymi okrzykami na cześć przyjacieli polsko - radzieckiej witali zgromadzeni przedstawiciele handlowego ZSRR w Polsce — Kaziukowa, konsula Związku Radzieckiego w Krakowie — Nikitina oraz przedstawiciel Ministerstwa Elektrowni i Przemysłu Elektrotechnicznego ZSRR — inż. Archipowa i inż. Sze-miela.

Zebranych, wśród których widzieliśmy również delegacje budowniczych kombinatu Nowa Huta, górników kopalni jaworznińskich, delegacje chłopów oraz żołnierzy, serdecznie wita przewodniczący Rady Zakładowej, następnie zaś przemawia dyrektor elektrowni — Kolowrotkiewicz.

Głos zabiera następnie wiceprezes Rady Ministrów — Piotr Jaroszewicz. Przemówienie przerywane jest okrzykami na cześć ludowej Ojczyzny, na cześć Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, na cześć Bolesława Bieruta.

Po przemówieniu wiceprezes Rady Ministrów — Jaroszewicz, minister Nieszporek oraz przewodniczący krakowskiej Woj. RN — Dobieszak dekorują 123 najbardziej zasłużonych ludzi jaworznińskiej budowy wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymuje inż. Gut-herc, pełnomocnik rządu do spraw uruchomienia elektrowni Jaworzno II. Wśród 11 odznaczonych złotymi krzyżami zasługi znajdują się m. in.: mistrz turbinowy — Jamroz, kierownik montażu kotłów — inż. Godecki, naczelny dyrektor budowy elektrowni — inż. Stefan, przodujący spawacz wysokoprężny — Troll i naczelny inżynier budowy — Bie-niarz.

Srebrne krzyże zasługi wręczono 52 robotnikom, technikom i inżynierom, a brązowe krzyże zasługi — 59. Ponadto przewodniczący CRZZ — Kłosiewicz udekorował 71 przodujących ludzi Jaworzna srebrnymi i złotymi odznakami Przewodnika Pracy i Racjonalizatora Produkcji.

Zbliża się kulminacyjny punkt uroczystości. Na trybunę wstępuje ob. Cedro, odznaczony przed chwilą Złotym Krzyżem Zasługi. Jest to kierownik robót elektrycznych, awansowany na to stanowisko ze zwykłego robotnika. Jest wśród nas, specjalistów, dużo takich, którzy do niedawna jeszcze nie posiadali żadnych kwalifikacji — mówi Cedro. Pracownicy ci przyszli wprost ze wsi, a już po roku stali się spawaczami, zbrojarzami, czy też monterami. Wychowała nas i wyuczyła Polska Ludowa. Rośliśmy i rośnięmy tak, jak rosną wielkie budowle socjalizmu. Dziś oddajemy załozdę eksploatacyjnej nowoczesnej, dostarczonej nam z ZSRR urządzenia. Przed Wami, towarzysze, stoi obecnie zadanie opanować te nowoczesne techniki radzieckie, dbać i wyko-rzystać w pełni te najlepsze urządzenia.

W imieniu załogi eksploatacyjnej zabiera głos starszy palacz — Den-kowicz. Przyjmujemy do ruchu urządzenia — oświadczył on — świadomi, że służąc one będą pokojowemu budownictwu w Polsce, podnoszeniu naszej kultury i oświaty, świadomi tego, że energia płynąca z naszej elektrowni rozjaśni mieszkania robotników w miastach i chłopów na wsi oraz uczyni ich pracę lepszą i bardziej wygodną.

Rozlegają się potężne okrzyki: „Niech żyje jedność narodu!”, „Niech żyje i umacnia się nasz potężny Front Narodowy!”, „Niech żyje pokój!”

Wiceprezes Rady Ministrów — Jaroszewicz i zaproszeni goście przechodzą do hali nastawni. Piękne, połyskujące niklem, szkłem i lakierem wnętrza hali wypełnione jest precyzyjnymi aparatami pomiarowymi. Dyżurny ruchu nastawni inż. Marian Lizak składa wiceprezesowi Rady Ministrów Jaroszewiczowi meldunek o gotowości silowni Jaworzno II do podjęcia eksploatacji.

Wiceprezes Rady Ministrów podchodzi do tablicy rozdzielczej. Wśród gorącej owacji zebranych przekręca włącznik. Na sieć wysokiego napięcia wtargnął potężny strumień energii elektrycznej.

# W 5 rocznicę powstania ZMP

Pięć lat pracy i działalności ma za sobą Związek Młodzieży Polskiej. W ciągu tych pięciu lat organizacja ogarnęła blisko półtora miliona młodych ludzi walczących o zbudowanie lepszego, jaśniejszego życia w mieście i na wsi.

Niemalby wkład do przebudowy naszego kraju dała w tym okresie organizacja lubelska. Młodzież coraz lepiej zdaje sobie sprawę z perspektyw, jakie stworzyła jej władza ludowa i dlatego też nie szczędzi wysiłków w pracy dla ojczyzny. Świadczy o tym chociażby fakt, że w minionym roku w zakładach produkcyjnych liczba młodzieży biorącej udział w współzawodnictwie wzrosła z 6.500 do ponad 13 tys., a liczba brygad produkcyjnych wzrosła ze 175 na 525.

Na terenie lubelskiej wsi wiele ogniw ZMP bierze aktywny udział w walce o wzrost produkcji rolnej, o wykonanie obowiązków wsi wobec państwa, w walce o socjalistyczną przebudowę wsi.

Ale świącąc piątą rocznicę powstania Związku Młodzieży Polskiej myślimy przede wszystkim o jej dorobku — nie dającym się ująć w cyfry i wykresy, o dorobku mierzonym rytmem milionów serc, uczuciem milionów młodych ludzi, ich pracą, zapałem i bohaterstwem.

Myślimy o tym, czym stał się Związek Młodzieży Polskiej dla każdego młodego człowieka, jak jego wychowawczym wpływem kształtuje się i potężnieje młoda gwardia budowniczych socjalizmu — przyszłość narodu polskiego.

Miliony młodzieży żyje i rośnie w naszym kraju — dumnej, wolnej młodzieży, dla której nie ma nie dających się zrealizować marzeń o pracy i nauce. Dumnej i wolnej młodzieży, która nie zna uczucia osamotnienia i lęku przed przyszłością, bezradności i poniżenia.

Wychowanie naszej młodzieży na aktywnych bojowników, oddanych ojczyźnie i budownictwu socjalistycznemu powierzyła partia Związkowi Młodzieży Polskiej. Zadanie to nie jest łatwe. Trwa w naszym kraju ostra walka z wrogiem klasowym, który usiłuje nam szkodzić. Trwa również w duszy każdego człowieka walka między starym sposobem myślenia, między burżuazyjnymi nawykami egoizmu i nieufności do ludzi, a nową, szlachetną postawą człowieka, współgospodarza kraju, budowniczego nowego ustroju — socjalizmu.

Taka będzie przyszłość każdego narodu, jaka jest jego młodzież. I cóż dziwnego, że na młodzież skierowany jest silny atak wrożej propagandowej ofensywy? Licząc na młodzieńcze niedoświadczenie stara się wrog wykorzystywać dla swoich celów szlachetne dążenia młodzieży do sprawiedliwości i szczęścia, usiłuje

zatruc świadomość młodzieży demoralizacją i awanturnictwem.

Związek Młodzieży Polskiej upowszechnia i pogłębia wśród polskiej młodzieży zrozumienie treści naszego życia, celów, ku którym partia prowadzi naród.

Wiele jeszcze braków, niedociągnięć, trudności ma w swej pracy ZMP. Obrady XII Plenum Zarządu Głównego ZMP postawiły przed całą organizacją zadanie podniesienia poziomu pracy politycznej i ideologicznej, ściślejszego powiązania się ZMP z całą młodzieżą. Obrady III Wojewódzkiej Konferencji ZMP przetwarzając twórczo te wskazania XII Plenum, krytykują ostro wszelkie wypadki odcierania organizacji zetempowskich od młodzieży, niedostateczną troskę o stały rozwój młodzieży, o jej codzienne sprawy, niedostateczną walkę o to, by jak najwięcej młodych, ofiarnych robotników i chłopów wstępowało w szeregi organizacji.

ZMP winno pełniej, szerzej niż dotychczas korzystać z bogatych doświadczeń Komсомолu. Jest to jeden z podstawowych warunków dalszych sukcesów Związku Młodzieży Polskiej.

Z dumą i radością spoglądamy dziś wstecz — na osiągnięcia pięcioletniej działalności ZMP. Spójrzmy na młodych członków i kandydatów partii, którzy wstąpili do PZPR ze Związku Młodzieży Polskiej. Jakże ofiarnymi, ideowymi, aktywnymi członkami partii, szczerze i gorąco oddanymi pracy partyjnej są ci młodzi ludzie... Wspomnijmy zeszlóroczny Zlot Młodych Budowniczych Polski Ludowej, aktywność młodych robotników, chłopów i uczniów w pracy nad realizacją czynu złotowego.

Wspomnijmy gorące, pełne miłości do ojczyzny słowa Złotowego Ślubowania, jak w ciągu rocznej pracy z gorącą młodzieńczą żarliwością wprowadzono je w czyn, przypatrzmy się dziś, jaka siła uczuć miłości ojczyzny, przyjaźni i braterstwa z walczącymi o pokój narodami, świadomości wspólnych celów i dążeń bije z meldunków, które gwiazdzista sztafeta festiwalowa niesie do Bukaresztu, do młodzieży świata na IV Światowy Festiwal!

Duże są osiągnięcia ZMP, ale nie mniejsze Jego zadania na przyszłość. W tej walce o uczynienie z każdego młodego chłopca czy dziewczyny aktywnego i świadomego bojownika o pokój i socjalizm — muszą ZMP pomagać nasze organizacje partyjne.

Wnioski z osiągnięć i niedomagań pięcioletniej pracy pozwól ZMP stać się w pełni przyjaciółem, kierownikiem i wychowawcą młodzieży, najlepszym, wypróbowanym pomocnikiem partii w wielkim dziele wychowania nowego człowieka — obywatela socjalistycznej ojczyzny,



Bogumił Mikulski

# Nędzne wczoraj Polski przedwrześniowej ustąpiło miejsca wspaniałemu dziś



„Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do pracy, to jest prawo do zatrudnienia za wynagrodzeniem według ilości i jakości pracy”. (art. 58 Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej).

Jedno z przedwojennych czasopism ogłosiło kiedyś konkurs — ankietę na temat: jakie słowo w języku polskim jest najpiękniejsze. Wynikiem konkursu był wyraz „Ojczyzna”.

Ankieta na słowo najstraszniejsze, na pojęcie największej i w ojczyźnie zawsze tragicznie aktualnej groźby inspirowała samą rzeczywistość. Formalnego konkursu nie trzeba było urządzać, bo znali się aż nazbyt dobrze wszyscy. Zarówno ci, którzy ustawicznie dzielili przed bezpośrednim zetknięciem się z nim a jeszcze lepiej ci, dla których kosztowanie gorzkiego jego smaku stało się udziałem całego lub prawie całego życia. Tym słowem był wyraz „bezrobocie”.

Stare przysłowie łacińskie o książ

ce można sparafrazować w ten sposób: i każde słowo ma swoją historię. Każde słowo rodzi się, żyje i umiera wyparte przez inne. W naszej Polsce wyraz „bezrobocie” jest określeniem historycznie przebrzmiałego zjawiska. Stało się tak dlatego, że obok pojęcia „ojczyzna” wyrosły równie piękne i nierozdzielnie z nim związane: „pokój” i „socializm”.

Dziś, kiedy brak pracy należy już do bezpowrotnej i niesławnej przeszłości, dobrze będzie przypomnieć starszym i pokazać młodszym jak wyglądało oblicze ówczesnej polskiej nędzy i bezrobocia. Przypomnieć czasy, w których obszarniczo-kapitałistyczna klika kładła znak równości między wyrazami Polska i bezrobocie.

W roku 1931 według oficjalnych danych Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy liczba bezrobotnych w Polsce wynosiła około 370 tysięcy osób, a w istocie bezrobotnych było około miliona. Skąd się wzięła ta rozbieżność? Stąd, że urzędowa statystyka za bezrobotnego uważała tylko tego, który stracił pracę, to znaczy kiedyś pracował. Wykazami nieobjęte były liczne rzesze przede wszystkim młodzieży, która w sytuacji gospodarczej Polski rządzonej przez jej przedwrześniowych władców nie mogła mieć nadziei na otrzymanie jakiegokolwiek pracy. Dalej — oficjalne statystyki nie obejmowały bezrobotnych robotników rolnych, których liczba wynosiła około 2 miliony. Poza tym 8 milionów mieszkańców wsi nie miało faktycznie możliwości pracy w rolnictwie, a wskutek niskiego uprzemysłowienia kraju i kryzysów gospodarczych, do których prowadziły rządy kapitalistów i obszarników — ludzie ci nie mogli znaleźć zatrudnienia w przemyśle. W rezultacie co szósty człowiek w Polsce był wtedy bezrobotny.

Cierpkim owocem bezrobocia była skrajna nędza, w której żyli ludzie pozbawieni pracy. Konrad Wrzos, sanacyjny dziennikarz, którego absolutnie nie można posadzać o sympatię dla socjalizmu, współpracownik przedwojennego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” w swej książce pt. „Oko w oko z kryzysem” (która m. in. jest tematem reportażu drukowanego przez nas w dn. 21 bm.) pisał, że „utrzymanie bezrobotnego Zawiercia kosztuje 4 złote miesięcznie”, a w Łodzi 9 złotych miesięcznie. Ci „szczęśliwcy”, którzy uzyskali zatrudnienie przy robotach publicznych finansowanych przez Fundusz Pracy otrzymywali według danych Małego Rocznika Statystycznego wynagrodzenie w wysokości 3 złotych dziennie. A przecież nie wszystkim udało się dostać tę pracę. Przecież roboty takie były prowadzone tylko w ciągu niepełnego sezonu letniego.

Co mieli robić ludzie pozbawieni absolutnie wszystkich środków już nie do normalnego życia, ale choćby do nędznego podtrzymania egzystencji? Odpowiedzi na to pytanie poszukajmy w kronice „drobnych wypadków” prowadzonej skrupulatnie przez przedwojenne dzienniki.

W „Głosie Lubelskim” z dnia 26 kwietnia 1931 roku w notatce pt. „Tragedia bezrobotnego” czytamy:

„Władysław Sutryk z Majdanu Wrońskiego rzucił się pod pędzący pociąg. Silnie potłuczonego umieszczono w Szpitalu Szarytek. Sutryk w parę godzin po wypadku zmarł. Jak przed śmiercią oświadczył, do tego rozpaczyłwego kroku popchnęła go nędza. Od dłuższego czasu był bez pracy i nie miał żadnych środków do życia”.

W „Pamiętnikach bezrobotnych” ogłoszonych przed wojną przez Instytut Gospodarstwa Społecznego jeden z pamiętnikarzy, murarz od dłuższego czasu pozbawiony pracy i bezdomny, bez specjalnego wzruszenia, jako zjawisko powszednie, po stwierdzeniu, że „wielu ludzi z biedy tej zimy skończyło się w Wisły” opisuje następujące zdarzenie:

„Okolo godziny pierwszej w nocy ułożyłem się przez most. Kiszki grały mi marsza. W ustach język wysechł na wiór. Nagle dobiegło moich uszu czyjeś łkanie. Obejrzałem się. W odległości 10 kroków ode mnie wleził na parapet mostu jakiś obdarty człowieczek. Przyglądam się co będzie dalej. Nieborał najpierw siadł okrzakiem na parapecie, następnie stanął, wreszcie przeżegnał się, rozszarpiał rękę i fajną głową w dół. W ciemnościach plusnęło, rozległ się jakiś niesamowity bełkot, jakby się ktoś dusił — i po wszystkim. Krótką mową pogrzebową nad grobem zdesperowanego nędzara wygłosił policjant, który z drugiego końca mostu był świadkiem samobójstwa: „Ha, może byćście jeszcze chcieli, holoto, żeby dla was zrobiono trampolinę, z której byście skakali do rzeki”.

Nie były to wypadki odosobnione. Liczba samobójstw popełnionych w lwiej części z braku środków do życia osiągnęła w Polsce przedwrześniowej zawrotną wysokość. W jednym tylko roku 1936 wynosiła ona

około 4.500. Znane były niestety nie rzadkie wypadki samobójstw zbiorowych, kiedy ojciec rodziny wyczerpawszy wszystkie możliwości zdobycia pracy, przed targnięciem się na własne życie, zabijał żonę i dzieci, aby oszczędzić im powolnego konania z głodu.

Przymieraniem głodem było istotnie określenie najtrafniejszym dla życia bezrobotnego. Dość przypomnieć, że w roku 1932 nawet w rodzinach bezrobotnych, objętych akcją świadczeń społecznych miesięcznego spożycie na jednostkę konsumcyjną wynosiło: masła 2,5 dkg, a owoców i przetworów owocowych 0,8 dkg. Głównym środkiem odżywczym były ziemniaki, których bezrobotny spożywał niecałe 60 dkg dziennie. I nie mogło być inaczej, jeżeli miesięczny budżet czteroosobowej rodziny bezrobotnego otrzymującego zasiłki zamykał się liczbą niespełna 52 zł. Przy tym nie wszyscy bezrobotni otrzymywali zasiłki. Mały Rocznik Statystyczny podaje, że w roku 1930 na 300 tysięcy zarejestrowanych bezrobotnych (pamiętajmy, że faktyczna ich ilość była przeszło trzykrotnie większa) zasiłków korzystało zaledwie 104 tysięcy.

Takie było położenie bezrobotnych, ale i dużej liczbie posiadających pracę robotników niewiele lepiej się powodziło. Równoległe do całkowitego bezrobocia zastraszające rozmiary przybierało bezrobocie częściowe — nieuchronny skutek kryzysu spowodowanego nieudolną i grabieżczą gospodarką kapitalistów. W roku 1933 na ogólną ilość robotników zatrudnionych w wielkim i średnim przemyśle około 34 proc. pracowało do 5 dni w tygodniu (z tego przeszło połowa robotników pracowała zaledwie 1 do 3 dni w tygodniu). Za pełny przepracowany tydzień w wielkim przemyśle wódkowniczym robotnik otrzymywał od 12 do 25 zł, a w małym i średnim 7—8 zł. (Dane według Mitznera — przedmowa do „Pamiętników bezrobotnych”). W tym samym czasie pensje dyrektorów śląskich koncernów węglowych dochodziły do wysokości 120 tysięcy złotych miesięcznie. Było to 1600 razy więcej niż zarabiał robotnik na robotach publicznych, czyli że człowiek ten musiałby pracować bez przerwy przeszło 133 lata, aby osiągnąć zarobek równy jednej miesięcznej pensji dyrektorskiej.

Te dysproporcje nie były w ówczesnej Polsce jedyne. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej sytuacja na wsi polskiej wyglądała następująco: 1.109.000 gospodarstw chłopskich na obszarze zaledwie 1.000.000 ha (średnio niecały hektar na gospodarstwo), a obok tego 19.000 majątków obszarniczych obejmujących 13.500.000 ha czyli 43% całości ziemi w Polsce.

„Nie dostrzegający” tych rzeczy były ministrowie skarbu Jerzy Michalski, analizując w roku 1931 sytuację ekonomiczną Polski, za jedną z przyczyn kryzysu gospodarczego uważał „fakt, że budując państwowość polską, odbiliśmy od gotowych wzorów Zachodu i wpadliśmy w jakiś dziwny liberalizm polegający na chęci obdarowania najszerzych warstw kosztem klas posiadających”. Właściwą reakcją na tego rodzaju idiotyzm jest wzruszenie ramionami i nakreślenie symbolicznego kółka palcem na czole.

Inną przyczyną kryzysu według prof. Michalskiego była „szalona drożyna kredytu, zwłaszcza zagranicznego, bez którego nie może być mowy o radykalnej poprawie stosunków. Stan rzeczy w tej dziedzinie pogarsza pomieszenie elementów socjalistycznych z kapitalistycznymi, w następstwie czego kapitał traci zaufanie i omija Polskę”.

Ta „utrata zaufania” mająca rzekomo prowadzić do „omijania Polski” nie przeszkodziła jednak obecnym kapitałowi w opanowaniu najważniejszych gałęzi polskiego przemysłu. Stopień tego opanowania określają następujące liczby: górnictwo i hutnictwo w 76 proc., przemysł metalowy w 62 proc., chemiczny w 83 proc., naftowy w 85 proc., elektrownie i wodociągi w 89 proc., ubezpieczenia w 92 proc. Jak widać niewiele byłoby przesydy w powiedzeniu, że przedwojenna Polska stanowiła kolonię zagranicznego kapitału, że była terenem wyrafinowanego, kapitalistycznego wyzysku.

W zbrodniczej trosce o wysokość swoich zysków kapitaliści ograniczali produkcję (w okresie od 1929

do 1936 roku spadek ten w produkcji węgla wynosił 25 proc., żelaza 46 proc., cynku i superfosfatu 50 proc., itd.), a nadmiar zbędnych w kraju rąk roboczych kierowali za granicę.

Otumanienj obietnicami, a przede wszystkim zmuszeni do tego przez nędzę jechali polscy bezrobotni w świat szukać lepszego życia. Jak tam żyli? Posłuchajmy co o tym mówi jeden z emigrantów w pamiętnikach wydanych przez cyrowany już Instytut Gospodarstwa Społecznego:

„Szwagier był już wtenczas przeszło rok w Ameryce, więc znał już cokolwiek miasto. Udał się na śmiecie, bezdomne psy się tam odżywiają, a nieraz tak samo i bezrobotni i niezliczona ilość szczerów. Otóż mój szwagier, będąc tak samo bezrobotnym jak i ja, a chodząc za robotą natrafił na tę śmieciarnię. Z tego powodu miał sposobność nazbierać rozmaitych wyrzucanych tam produktów. Wycieriał chleba z popiołem, kilka zdechłych, śmierdzących kur, śmierdzących, robitych jał, także i śmierdzących ryb i starych zielonych kiełbas i dużo zgnitych śmieci i rozmaitych innych zgnitych i śmierdzących produktów. Dopiero żeśmy nasz głód tymi śmierdzącymi i zgnitymi produktami zaspokoił. Zaznaczyć należy, że całe trzy miesiące w ten sposób żeśmy musieli żyć”.

W latach od 1919 do 1934 r. głód wygnał na obczyznę 1.708.000 ludzi (stanowiło to około 5 proc. całej ludności Polski), z czego po roku 1929 wskutek niemożności otrzymania pracy 700.000 powróciło do kraju, który nie zapewnił im warunków do życia.

Takie było prawdziwe oblicze sanacyjnej Polski, taka rzeczywistość kryła się za słowem bezrobocie, takie były następstwa tego, że po pierwszej wojnie światowej władzę w Polsce objęła popierana przez kapitalistów klika burżuazyjna i przez dwadzieścia lat realizowała politykę grabieży, wyzysku i nędzy.

Artykuł 58 Konstytucji PRL głosi, że „obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do pracy, to jest prawo do zatrudnienia za wynagrodzeniem według ilości i jakości pracy”.

Nie ma już w Polsce bezrobocia. Nie kupuje się zapalek na sztuki, nie gotuje się ziemniaków kilka razy w tej samej wodzie dla oszczędności soli. W jednej parze butów nie chodzi na zmianę kilkoro z chłopskiego czy robotniczego rodzeństwa. Do przeszłości należy widok człowieka idącego ulicami miasta z tabliczką na piersiach: „Przyjmę każdą pracę”. W przeciwieństwie do ustroju opartego na absolutnej władzy pieniądza, ustroju, który dziś jeszcze pozbawia pracy 5.700.000 mieszkańców Stanów Zjednoczonych, 18.000.000 Japonii i 2.000.000 Niemiec zachodnich — Konstytucja nasza zapewnia wszystkim obywatelom możliwość otrzymania sprawiedliwego zarobku.

Artykuł 58 Konstytucji nie jest deklaracyjnym sformułowaniem. W punkcie drugim wyraźnie wymienia czynniki gwarantujące pracę i zarobek każdemu obywatelowi.

Są nimi: „Społeczna własność podstawowych środków produkcji, rozwój społeczno-społdzielczy, wolnego od wyzysku, ustroju na wsi, planowy wzrost sił wytwórczych, usunięcie źródeł kryzysów ekonomicznych, likwidacja bezrobocia”.

W jednym ze stołecznych dzienników włoskich po drugiej wojnie światowej ukazało się ogłoszenie: „przyjmę wykwalifikowaną maszynistkę”. Po kilku godzinach runęły nadmierne obciążone schody wiodące na piętro ogłoszeniodawcy, grzebiąc w swych gruzach dwieście reflektantek. W Polsce Ludowej rubryka ogłoszeń każdego dziennika jest wielkim zapożyczeniem na ręce do pracy:

„Inżynierów elektryków, konstruktorów mostowych, techników i mechaników, monterów wodociągowo-kanalizacyjnych, murarzy, księgowych i referentów zaopatrzenia — zatrudnimy natychmiast”.

To jest praktyczna realizacja powszechnego prawa do pracy zapewnionej nam artykułem 58 Konstytucji PRL uchwalonej w dniu 22 lipca 1952 roku.



Daniela Marek

## Racjonalizator z żelaznego szlaku

**T**ERMINATORZY przychodzili do warsztatu najwcześniej. Przyzwyczajali się do rannego wstawania. Zanim rozdzielono im pracę sprząkali w warsztacie i usługiwali z „grzeczności” pani inżynierowej, rąbali drzewo, dźwigali węgiel z piwnicy, biegali po mleko i rogaliki, pilnowali dzieci, aby „przypadkiem nie zrobili sobie co złego”. O 7-ej wracali do warsztatu. Tu z kolei dreptali wokół czeladników, baczni na każde skinienie majstra. Około południa zjawiał się „pan inżynier” Gniazdowski. Od tej chwili chłopcy nie zagrzali miejsca w warsztacie. Całe popołudnie biegali po mieście — do banku, do fabryki po materiał, po zamówienia.

Dopiero po roku byli bliżej maszyn, ale też nie za blisko, aby przypadkiem nie nauczyli się za dużo. Pan inżynier umiał strzec swojej wiedzy. Nie zdradzał się z nią również majster i czeladnicy. Tamten nie chciał wyrzec się opłat, które placili słono rodzice, a ci obawiali się konkurencji w zawodzie i bezrobocia.

Edek Wróblewski terminował więc u pana inżyniera Gniazdowskiego trzy lata. Był bardzo zdolny. Po trzech latach umiał i robił więcej niż każdy inny tokarz — czeladnik, ale pan inżynier uważał go ciągle za terminatora i płacił tylko 40 groszy dziennie.

Edek miał 19 lat. Był energiczny, zachwycił i buntowniczy jak mówił pan inżynier Gniazdowski. Rozstali się więc bez żalu.

**P**RZY pierwszej okazji Wróblewski wyjechał do Rosji. W biurze przyjmującym zgłoszenia do pracy przy budowie pieców martenowskich obiecywano dobre warunki. Edek nie miał nic do stracenia. Chciał się uczyć. Jak każdy młody, ciekaw był świata i ludzi. Wychłano go do Jekaterynosławia. Pracował tam dwa lata. W roku 1915 wcielono go do wojska. Jako jeden ze zdolniejszych pełnił funkcję mechanika w oddziale balonów zaporowych. Tak jak kiedyś przed inżynierem Gniazdowskim, tak teraz musiał przeżyć się przed oficerami, wysłuchiwać ich obelżywych uwag. Tak jak każdy inny żołnierz miał dość tej „dyscypliny wojskowej”, która była niczym innym tylko ordynarnymi szykanami ze strony carskich oficerów.

Trzeba było czekać długo, ale pewnej październikowej nocy przyszła wreszcie upragniona chwila wyzwolenia. Żołnierze nie spali, starszyzna kręciła się niespokojnie po koszarach. W ostatniej chwili oficerowie stracili głowę.

„Towariszezi! nastalo wremia aswabazdenia ot carskogo iga”. Nie pomogły masywne bramy koszar. Żołnierze wysypali się za robotnikami na ulicę.

Następne dni były piękne i ciężkie. Walki z białogwardziestami, pierwszy triumf — zdobyte cztery ulice. Wróblewski poznał wszystko co tylko mógł poznać uczestnik rewolucji październikowej. Był delegatem rady żołnierskiej, brał udział w posiedzeniach rad żołnierskich i robotniczych w Pałacu Zimowym i w Wielkim Teatrze w Petersburgu, siedział z Leninem przy jednym stole konferencyjnym, rozmawiał z nim, widział Dzierżyńskiego i innych wielkich ludzi rewolucji.

**W**ROKU 1918 wrócił z tamtego wolnego już kraju do Polski, do rodzinnego Lublina. Stracił wiele długich miesięcy zanim znalazł pracę. Odwiedził nieraz Biuro Pośrednictwa Pracy, zapłkował przed naczelnikiem Parowozowni i urzędnikami zanim zdecydowano się go przyjąć do pracy.

Przez 25 lat kotlarz Wróblewski wykonywał sumiennie swoją robotę. Pracował w ciężkich i prymitywnych warunkach tak jak dziesiątki innych kotlarzy, ślusarzy i tokarzy z mechanicznego. Nieraz myślał nad tym jak ułatwić pracę swoją i towarzyszy, miał nawet projekty. Kierownik uważał go jednak za filozofa i natręta. Wróblewski był więc jednym z tych, którzy nie mają nic do gadania. Przychodził do pracy rano, odchodził po południu. Był przysłowiowym robotem, takim o którym się mówi: „zrobił swoje i może odejść”. A krzywdy zdarzały się rozmaite. Nierówności przy wypłacie, wypadki przy pracy, choroby. Sprawy te nie zawsze interesowały kierownictwo parowo-

zowni, nie zawsze znaleziono czas, aby je załatwić. Kończyło się więc najczęściej na rozmowach między ludźmi, na wspólnych żalach i narzekaniach.

**U**PALNY i pamiętny lipiec 1944 roku przyniósł wyzwolenie. Kiedy na murach lubelskich pojawił się Manifest Lipcowy Wróblewski zrozumiał, że przyszła nareszcie prawdziwa i niekłamana wolność. W parowozowni zaszyły zmiany. Znikali powoli ważni naczelnicy, kierownicy i urzędnicy. Robotnicy poczuli się pewniej, jak we własnym domu. Wróblewski miał wtedy blisko pięćdziesiąt lat, ale towarzysze nazwali go pionierem. Wiele było powodów ku temu. Był jednym z pierwszych organizatorów socjalistycznego współzawodnictwa pracy w parowozowni, był pierwszym w niej racjonalizatorem. Nikt mu już nie przeszkadzał w przeniesieniu wieloletnich doświadczeń na warsztat, nikt nie miał pretensji za przeprowadzanie prób. Nie trzeba było czekać długo na pierwsze usprawnienia. Wyrastały one hojnie spod rąk Wróblewskiego.

Jeszcze do niedawna nie mógł Wróblewski pomicieć ich wszystkich w pamięci. Dopiero przed kilkoma dniami spisał je wszystkie na kartce. Od pierwszego do 23 są wszystkie cenne i wartościowe. Zarówno maszyna do rżnięcia rur płomiennych jak i przyrząd do zważania końcówek rur żarowych pod młotem elektrycznym, a także sposób walcowania rur w palenisku i dymnicy oszczędzają wiele rąk roboczych, przynoszą wiele korzyści parowozowni. Nie jest to ostatnie słowo racjonalizatora. Już niedługo odda on do użytku robotników dźwig do przenoszenia więźniarzy złączonych. Pracuje obecnie nad jego konstrukcją.

Aby pracować twórczo trzeba się uczyć. Wie o tym dobrze Wróblewski i dlatego jest pilnym słuchaczem na kursach, uczęszcza do kolejowego, bogato wyposażonego Klubu Racjonalizatora, na odczyty, pokazy i wystawy organizowane przez NOT, na wykłady powszechne UMCS. Wróblewski umie wykorzystać możliwości, które stworzyła mu Polska Ludowa. Przypomina sobie dawne, ciężkie czasy, wspomina swoje życie i jest szczęśliwy, że po 50 latach

może urzeczywistnić marzenia młodości lat.

Wróblewski nie czuje się osamotniony. W razie potrzeby służy mu informacjami inżynierowie, korzysta z kolejowej biblioteki technicznej, bierze udział w posiedzeniach i zjazdach krajowych, wymienia doświadczenia, zasięga rad od innych. Zna ją go nie tylko w lubelskiej parowozowni, jego pomysły ułatwiły pracę kolejarzom w całym kraju. Polska Ludowa umie ocenić pracę swoich współbudowniczych. Dwie odznaki — złota i srebrna, nauka na codzień, lepsze warunki pracy i lepsza zapłata za nią — oto czym wynagradza cenny i twórczy wysiłek Wróblewskiego.

Stefan Piotrowski

## NASZA MŁODZIEŻ

**S**TANISŁAW DUDEK, syn średniorolnego chłopca z kraśnickiego, marzył o tym, żeby pójść do miasta. Pragnął być inżynierem lub technikiem.

Ojciec też myślał o nauce chłopaka, chciał, aby syn został nauczycielem. Ale chłopak obstawał przy swoim: koniecznie na technika...

Ojciec zaczął się radzić sąsiadów. Któryś kulak jął tak mu kiedyś tłumaczyć:

— Po co waszemu Stachowi szkoły? On i tak jest mądry chłopak. Znałem takiego jednego — co nic innego nie robił, tylko uczył się, książki ciągle czytał... No i co z tego wyszło? Z tego uczenia w głowie mu się pokiełbało. Zważywał! A taki chłop... Potem dziadował...

Stary Dudek tylko ręką machnął: — Ano, może być. Jak ktoś chciał się kiedyś za tego Śmigłego Rydza uczyć, a nie miał warunków, i jeszcze mu utrudniały, że ze wsi i „gnójką śmierdzi” — to wcale nie dziwota — mógł wariacji dostać, no nie?

Więcej z sobą nie rozmawiali. Stasiek Dudków zapakował co trzeba w kuferek, ojciec konia założył do wozu i z samego rana, skoro świt na kraśnicką szosę w stronę Lublina pojechali. I tak Stasiek Dudek zaczął się uczyć w Lublinie na technika. Warunki do nauki miał dobre. Stypendium od państwa, pomoc w nauce. Po paru latach został technikiem. Młodzi robotnicy FSC mówią o nim tak:

— Dudek? Ho, ho! To spec od mechaniki, stary wyjadacz!...

W ustach młodych robotników jest to najwyższe uznanie. A jest ich w fabryce wielu. Polska Ludowa dała im pracę, stworzyła warunki lepszego życia. Dudek jest jednym z wielu.

Adam Wacko tak mi wykladał: — Przy tokarni to nie kaźden potrafi. Myślałby kto, — ee, tam, wcale nie szluka żelazo w maszynę wsadzić i niech jej struga. O nie! Stał trzeba też znać. Ona jest różna. Twarda taka wolframowa, a miękka też jest... Dudek to nas uczył jak to rozróżnić... Nawet po iskrach. A najlepsza ta wolframowa...

— Dużo macie roboty? — A pewnie! Śmieje się. Fabryka się stale rozbudowuje, roboty coraz więcej.

Mój rozmówca milknie, a potem mówi dalej — choć go nie „ciągną za język”.

— My wszyscy — to fabryka — powiada, prostując się. — Tu się człowiek nauczył patrzeć na życie. Bo tam w Antoniówce to bym wtedy nic nie skorzystał.

— W Antoniówce?

— Aha...

— A nie się tam od tego czasu nie zmieniło?

— O, nie! Powstała spółdzielnia... Teraz się zmieniło! Ale ja już tu w fabryce się wychowałem, tu przywykłem... Jak przyszedłem to nic, a nic nie umiałem! A teraz? — Kręci z zadowoleniem głową. — Na tych nowych normach dają sobie dobrze radę... Zawsze ponad plan!... A za rok, za dwa, to pan naszej fabryki wcale nie pozna.

— A macie tu przodowników pracy? — zadaje prowokacyjne pytanie. Dudek obraża się.

— Są! 130 proc., 145 proc., 150 proc., 160 proc. machają! Nawet 180 proc... Taki Tytulki — zetempowiec. Tokarz. Wiecie ile wyrabia?

— No? — 185 proc. Ale ma głowę! Me-toda Zandarowej pracuje...

Rozmawiając z tymi młodymi robotnikami, doskonałymi fachowcami (kto by pomyślał, że do niedawna krowy u kulaka paśli!), czuję, że wszyscy kochają fabrykę i wiedzą komu zawdzięczają obecne, nowe życie.

Ot, choćby taki Hieronim Okonowski. Młody, ambitny chłopak. Przyszedł do FSC parę lat temu. Nauczył się tokarstwa, a przy tym pracy społecznej od swego towarzysza pracy — Długosza. Teraz Okonowski jest przewodniczącym Zarządu Zakładowego ZMP w FSC — awansował na to stanowisko niedawno. Okonowski wybiera się do Szkoły Oficerskiej. Opowiada mi o swym o'cu, który często przed wojną był bezrobotnym.

Stary Okonowski opowiada synowi, jak przed wojną było trudno o pracę i z dumą podkreśla jak wiele zmieniło się na korzyść od tamtych czasów.

Rośnie nasza młodzież. Tacy właśnie jak Stasiek Dudek z kraśnickiego, jak Wacko z Antoniówki, Okonowski z Kalinowszczyzny. Wyprostowała się ich droga życiowa. A zawdzięczają to władzy ludowej, i naszej ukochanej Partii.

Stanisław R. Dobrowolski

## Rośnie Polska Rzeczpospolita Ludowa

**N**IEDAWNO odwiedziłem przyjaciół, u których nie byłam już bodaj od roku. Otworzyła mi drzwi ich dziewięcioletnia córeczka. — Ach! jakżeś ty wyrosła! — wydarł mi się okrzyk zdziwienia. — Jakaś ty już duża! I jak wypiękniała!

Zauważyłem, że na twarzy idącej mnie witaczkę rozlała się radość i duma.

— To takie dziwne — mówiła do mnie później — bo nam się wydaje, że ona prawie wcale nie rośnie. Inne dziewczynki rosną, a nasza wciąż jest taka mała!

— Eee! co ty mówisz. Oglądacie ją co dzień po sto razy i zapewne dlatego nie dostrzegacie zmian... Trzeba dziecko mierzyć!

To blahe, nie nie znaczące wydarzenie przypomniało mi się, kiedy przed kilku dniami wędrowałem przez ulice Warszawy, aby obejrzeć odbudowujące się Stare Miasto.

Czy my dostrzegamy — zastanowiłem się — to wszystko, co się dookoła nas dzieje? Czy wśród naszych codziennych wysiłków, w toku naszej nieustającej roboty potrafimy uprzytomnić sobie, ileśmy już dokonali, jakiego wielkiego dzieła jesteśmy czynnymi świadkami?

**T**OĆ zaledwie osiem lat temu ta sama Warszawa, po której dzisiaj bez zdziwienia chodzimy, była pustynią zgłiszcz i ruin. I oto z dnia na dzień, z godziny na godzinę przez tych kilka lat przeobraziła się w kipiące życiem, bujne, milionowe miasto.

Rok temu nie było jeszcze Starego Miasta. W historycznych uliczkach zalegała cisza śmierci. W blikim sercu każdego z nas rynku starej Warszawy sterczały smutne

zwaliska wiekowych kamienic. Tylko samotny wiatr od Wisły hulał tu o zmroku wśród ruin.

A dzisiaj?

Opadają ostatnie rusztowania, odsłaniając przed rozradowanymi naszymi oczami

„Barzo kamienice śliczne

W rynku, także i uliczne,

Blyszczą się od złota prawie;

Na nich dziwne rysowanie,

Farbami ukształtowanie...”

— jak przed trzema wiekami pisał o Starym Mieście Adam Jastrzębski, autor „Gościńca albo opisanja Warszawy 1643 r.”

— Ach! jakżeś ty wyrosła i jak wypiękniała! — wydziera się z nas mimowiednie okrzyk radosnego zdziwienia.

I jakoś trochę wstyd, że nie potrafimy co dzień pamiętać o tym, że ona rośnie i pięknieje, że rośnie i pięknieje nie tylko Warszawa lecz i cała Polska — z godziny na godzinę, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. I trzeba nam niekiedy dopiero jakichś specjalnych okazji, czy aby nam ktoś na to zwrócił uwagę, żebyśmy potrafili dojrzeć i uprzytomnić sobie tę tak oczywistą, zdawałoby się, prawdę.

„Sam sobie nie zdajesz sprawy

I znika obawa.

Mówili: nie ma Warszawy!

A tu jest Warszawa!”

— przypominają się słowa piosenki Artura Bartelsa „A tu jest Warszawa” (1864).

**N**ASZ naród wyzwolony z pęt niewoli w bezprzykładnym, bohaterским wysiłku dźwignął swoją ojczyznę z dna upadku, zamienił ruiny i popieliska w kwitnące gospodarstwo.

Czy zdajemy sobie dostatecznie z tego sprawę?

Czy potrafimy zdać sobie w pełni sprawę z tego, że co dzień, co godzinę jesteśmy bogatsi, potężniejsi, że nieustannie trudem milionów rośniemy w siłę i znaczenie?

Jest wciąż coś zaskakującego w tej świadomości.

A nie ma przecież u nas dnia, abyśmy się nie dowiadawali, że tu albo gdzie indziej w kraju zakończono budowę nowego zakładu pracy, nowego osiedla, nowych gmachów, zelektryfikowano jeszcze jedną wieś, uruchomiono jeszcze jedną linię komunikacyjną, wzniesiono tu albo gdzie indziej jeszcze jedną szkołę, jeszcze jeden dom kultury. Nie ma dnia, który by nie przynosił nowych wieści o sukcesach naszego wielkiego, socjalistycznego budownictwa.

Byłoby niedobrze, gdybyśmy jak owi rodzice powracali do swojej myśli, dziwiąc się z cudzego zdumienia:

— To takie niezwykle, bo nam się wydaje, że ona wcale nie rośnie! I to dlatego, że już przywykliśmy do tego niecodziennego obrazu życia.

**J**AKŻE niedawno jeszcze Nowa Huta, gigantyczna budowla naszego Planu Sześcioletniego, była zaledwie w sferze twórczej wizji, w fantazji inżynierów. Dzisiaj wokół rosnącego z dnia na dzień wielkiego kombinatu przemysłowego, jakiego nie było dotąd nigdy w Polsce, kipi realnym życiem nowoczesne, socjalistyczne miasto. Czyż możemy choć na chwilę o tym nie pamiętać?

Jakże niedawno jeszcze Fabryka Samochodów Osobowych na Żeraniu była przedmiotem twórczego marzenia tych wszystkich, którzy

mieli doskonałą świadomość znaczenia tego rodzaju inwestycji dla gospodarki narodowej naszego kraju. Dzisiaj nie ma chyba dziecka w Polsce, które nie widziało samochodu „Warszawa”.

Po polach, które dziesięć lat temu ryły pociski faszystowskich zbirów, obracające w perzynę ubogich ludzki dobytek, kroczą dzisiaj nasze traktory i nasze żniwiarki.

Rosną z popielisk coraz nowe ulice Gdańska. Pieści znów oczy swoim widokiem sławny Dwór Artusa.

Płoną nowe wielkie piece w naszym hutnictwie. Dymią coraz to nowe kominy fabryk na Śląsku.

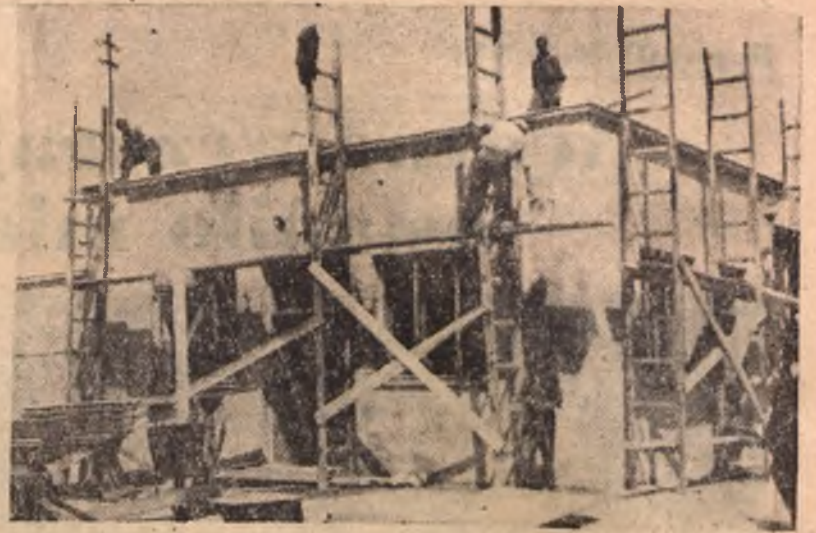
Gdzie nie obrócić spojrzeń, rośnie nam nasze gospodarstwo, nasza Polska Rzeczpospolita Ludowa.

**T**AK oto pisze się jej Konstytucja nie na papierze, ale w kamieniu i stali, każda jej litera utrwała się w widocznych codziennie i dla każdego triumfach naszej wielkiej roboty.

Prosty człowiek w Polsce, z którego wysiłku a nieraz i samozaparcia rośnie to dzieło niepopolite, nie może ani na chwilę nawet tracić z oczu perspektyw swojej roboty. Rozglądając się dookoła i poza siebie, musi mieć stale przed oczyma cel, jakim służy jego bohaterski wysiłek — jego własne rzeczywiste szczęście i trwałe, rzeczywiste szczęście jego dzieci.

Jeśli utracilibyśmy tę perspektywę, byłibyśmy jak owi rodzice, którzy nie dostrzegają najdumniejszej rzeczy, że dziecko rozwija się i rośnie.

Rozwija się i rośnie przez nas i dla nas, dla naszego narodu i dla całego człowieczeństwa, dla pokoju i socjalizmu. I to jest nasza duma,



Przebudowa dworca PKS w Lublinie, który zostanie oddany do użytku na 22 lipca. (Foto — Wier.)



Ryszard Smożewski

# Droga Lewandowskiego

Świadomość człowieka jest jak skomplikowana, precyzyjna maszyna. Stale dokręcasz w niej jakieś śrubki.

**O**D RAZU upodobał sobie Ludwik komendanta. Tchnęło od niego przecież jakąś mądrością, buty miał piękne, wyglancowane. A gdy mówił do żołnierzy, uderzał po cholewach pięścią. Jak karbowy od dziedzica w Trzydniku... Kiedy więc Piłsudski obrzucił wzrokiem wypiężone na rynku w Równem kolumny i zapytał: „Chłopcy za co walczycie?” — Ludwik z radością ryknął z całych sił: „Za ojczyznę!”. Krzyknął przepisowo, jak kapral przykazał: „za” trochę ciszej, a „ojczyznę” ile tchu w piersiach. Komendantowi widać przypadła odpowiedź pułku do smaku, bo dodał:

— Pobijemy bolszewików... Wróćcie do domów, otrzymacie pracę, ziemię i szanować was będą więcej niż innych...

Przez blazane okulary patrzył jeszcze wtedy na świat Ludwik Lewandowski. Nie rozumiał, komu ta wojna była potrzebna, w czym interesie ginęli żołnierze na bitewnych polach. Toteż wierzył komendantowi, wbrew temu, co mówił mu Pietrek Galoch, kolega z tej samej drużyny („tak nas będą szanować, jak nas dotąd szanowali”).

Galoch i Lewandowski przetrwali wojnę. Choć tego pierwszego nie omijały kule i odłamki.

W 1921 roku na obszernym placu warszawskiej Cytadeli ustawili się w dwuszereg. Stali ich chyba ze stu. Zdyb coraz trząca stojącego obok niego żołnierza:

— Lewandowski, a bo oni nas puszczają?

— Puszczają. Mamy żony, dzieci. W domu pewnie nie mają co jeść. Moja kobieta pisała, że trochę zasłabła...

Cisza przemknęła nad dwuszeregiem. Z czerwonego budynku wyszedł major. Zatrzymał się przed pierwszym z brzegu Galochem (obok niego stał Lewandowski, dalej Grzyb z Dąbrowki, Skrzypek z Potoka). Oficer ściągnął czapkę i nerwowym ruchem wytarł chusteczką spocyny, gruby jak u byka kark i okrągłą, lysą nby arbus głowę:

— Proście, żeby was puścił do domu? Do kubit się wam zachciało. Nie chcecie już gnójki służyć ojczyźnie?...

Ujął szablę wiszącą na długich raplach i jej końcem dotknął piersi starszego strzelca Galocha, Ludzie zamarli. Piotr energicznym ruchem odepchnął szablę, postąpił krok naprzód. Szarpnął za bluzę, guziki zabrzęczały na bruku. Naga, porzyła odłamkami pierś pod nos podstawił majorowi:

— Patrz, to za ciebie i takich jak ty... Wy takich jak ja za nic... Sukinsyny...

Za kilkanaście minut zjawili się żandarmi. Lewandowski nie zobaczył więcej Galocha... Ludwika nachodziły teraz całe korowody myśli, które legły nby osy w gnieździe i dokuczliwie klęły jak żądlem. A co wyległa się jakaś śmielsza, starał się odpędzić ją.

**W**CISNIĘTA w zieloną kotłinę, przytulona do małej, ciurkającej po kamykach rzeczki, taką samą wioską, ja... każda inna była Rzeczyca. Był tu dziedzic, zasobni gospodarze, byli i tacy, których lubiła bieda. Tych ostatnich bogatsi różnie nazywali, najczęściej: „dziady”, „lachmyty”, „byleco”.

Takim „byleco” był i Lewandowski. Ziemi nie miał tak mało, bo 4 hektary. Dzieci jednak w domu było ni mniej ni więcej — ośmioro. Nędza wlezie wszędzie, jak wesz. Nie ominęła rodziny Lewandowskich. Wlazła do domu, gdy Ludwik był na wojnie i w żaden sposób nie można jej było odmówić gościny, ni jak wyprosić z zagrody.

Od czasu, gdy Ludwik wrócił z wojny minęło dobrych parę lat. Sporo w tym czasie naciulał doświadczeń. Choć w domu było coraz biedniej — jego uboga świadomość stawała się coraz bogatsza. Migiem zrozumiał, że Piłsudski igał z tą ziemią, szacunkiem i ojczyzną. Gdzie tu teraz szukać ojczyzny? Czyja ona? Chyba dziedziców z Trzydnika. Księżej, Rzeczycy, wsiowych bogaczy — Turewicza, Kuśmierza, Oskrobę, no i pewnie księdza Barczewskiego.

Lekcję „szacunku” dał mu karbo-

wy z Trzydnika (ten co to przecikiem po cholewach... nby Piłsudski). Lewandowski pracował przy chmielu we dworze. Nie mógł przecie siedzieć w chałupie, bo wyzdychałby z głodu. W domu żona sama musiała sobie dawać radę.

Lewandowski niósł chmiel w koszu i nie widział, że wylatują mu kiście na ziemię i że deptce po nich. Karbowy dzielił go kijaszkiem po rękę:

— Uszanuj pańskie mienie, dziadu!

Kiedy wieczorem powrócił do domu, żona spytała:

— Zarobites coś dzisiaj?

Lewandowski przesunął palcem po grubej przędze na rękę:

— Zarobiłem... Dużo zarobiłem...

Każdy człowiek ma swój „kwadrans duszy”. Nachodziły takie chwile i Lewandowskiego. Zbierał różne rozproszone myśli, przeżuwał coś w sobie. Szukał prawdy, ale ona była gdzieś jeszcze we mgle. Daleko była. I tak sobie wykombinował, że najlepiej będzie jeśli i on stanie się zasobnym gospodarzem. Będzie miał takie obojętne, dostateknie jak Zarzeczny, albo Józwick. Edka pośle gdzieś do szkół, a i Władkowi trzeba nauki... Pobuduje nowy, murowany dom... W kościele będzie stał blisko ołtarza wśród najbogatszych, a jak pojedzie do Zaklikowa, to kupcy będą go witać: „Dzień dobry panie Lewandowski!”. Ręce urobi, zdrowie straci, a swego dojdzie.

Stało się inaczej. Chodził Lewandowski do dworu, kosił u bogaczy, pracował trochę na kolei, machał osnikiem i uprawiał „traczkę”. Wszystko na nic. Brzuch przyrastał do krzyża, a nędza trzymała się Lewandowskich „jak rzep kożucha”. Syn Władek nie poszedł do szkół. Powszecznikiem dla niego było pastwisko, gdzie pasł ojcową krowę, a akademią — parobkowanie u bogacza z Księżej — Wasilka. Przy ołtarzu Lewandowski nie stał, bo... Ale o tym potem. Ze słonkiem budziła się nadzieja i ze słonkiem gasła. Zaważyli się marzenia Lewandowskiego, jak domek z kart. Kołatać zaczęło mu się teraz po głowie, że trzeba bliżej gromady (a gromada, wiadomo — biedni). Należy pytać ludzi, jaka jest droga do lepszego, trzeba jej dalej szukać. Bo tamta, co ją obrał przedtem na nic, utudna, pełna zakrętów, wyboista i nigdzie nią nie dojdiesz.

Znali się dobrze z Władkiem Babiczem. Był on w Komunistycznej Partii Polskiej. Nieraz przegadali późne wieczory. I tak się jakoś stało, że czasem u Lewandowskiego w domu zbierali się komuniści. Przychodził m. in. Olek Szymański. Jak zaczął opowiadać o przyszłej Polsce, gdzie będą rządzić robotnicy i chłopci, to, aż jakaś radość wchodziła w człowieka. Raz nawet zgadzał się Ludwik z Szymańskim:

— Pytasz się jak ta Polska przyjdzie? Ona nie przyjdzie. O nią trzeba walczyć... — powiedział Szymański.

Niby racja. Ale jak tu walczyć, kiedy masz obrozę na szyi, i ręce spętane? Kiedy masz przed sobą i dziedzica Domańskiego, komendanta trzydnickiego posterunku Gozdalskiego i bogaczy i kierownika szkoły Maja, a nawet plebana Barczewskiego?...

A ten ostatni, to może i najgorszy. bo ludzi mał w zgrabny sposób, a tak bałtuje „o zgodzie co buduje i niezgodzie co ruinuje”, o „piekle, do którego pódą komuniści”, że nie jeden może zgłupieć i uwierzyć. Lewandowski poznał się już na księżo wch haczykach. Widać dowiedział się o konszachtach Lewandowskiego ksiądz Barczewski, bo przypomniał mu o tym. A było to tak:

Zachorowało Lewandowskiemu troje dzieci na szkarlatynę. Sprzedał krowę, ratował ich jak mógł. Dwoje wykaraskało się szybko, a w najstarszym, Edku, tyle, tyle że się tłuło życie. Kiedy było już bardzo źle, wzmógł Lewandowski wóz słomą i powiózł chłopca do księdza, aby ten dał mu ostatnie posługi. Gdy ksiądz zakończył swoje praktyki zwrócił się do ojca:

— Dziecko wam umrze. Widzicie, Lewandowski, to kara boska za wasze grzechy. Wy trzymacie z komunistami. A oai chcą Stwórcę poprawić. Czy to się godzi?...

Edek się jakoś „wylizal”, a w parę miesięcy potem maszerował Lewandowski w dniu i maja z całą gromadą do szkoły w Lychowie. Tam obrzucili ich kamieniami kulackie syny, endecki z Dąbrowy, a granatowi dolożyli pałkami.

Aż przyszedł kawaleryjski wrzesień, kiedy to sanacyjne „byczo jest” zmieniło się w „rację stanu”, która nakazywała wiać zaleszczycką szosą. Nie sprawdziła się paplanina o „mocarnej”, „guzikach od płaszczu” i „silnych, zwartych”...

Lewandowski zamknął swoje mierne dwudziestolecie takim oto bilansem:

Syna Edka stracił na wojnie, nalykał się niedostatku, zrozumiał po czyjej stronie jest prawda, do bagażu doświadczeń dorzucił wrzesniowe rozczarowania.

A dzieci to miał już teraz dziesięcioro.

**S**POKOJNA, cicha Rzeczyca, zmieniła się w siedzibę szerzenia. Co noc, gdy księżyc pałętał się wśród gwiazd, szerzenie wylatywały z gniazda. Wedrowały do nieba niemieckie transporty kolejowe, ginęli spiciele — naimiel, żandarmi, granatowi. „Byskawica”, „Sokół”, „Ali” — Szymański, „Grzybowski” byli to ludzie, którzy kochali wolność i Polskę, o którą walczyli. Gwardziści „nie stali z bronią u nogi”. Ich broń raziła okupanta. Walczyła Rzeczyca, Janiki, Trzydnik, Eysaków, Karpiówka, Zielonka... Partyzanckim domem były krańcickie lasy.

— Idź, Władzku, przydasz się — powiedział Lewandowski do najstarszego syna. Władek wstąpił do Gwardii Lużowej. Lewandowski uparł się, że musi przeżyć okupację. Nieraz mówił do żony: „Bo po wojnie matka, będzie lepiej niż przed wojną. Przyjemy...” A przeżyć nie było łatwo. Pewnego razu był nawet pewny, że to już koniec. Na stryszku nad chlewek spało trzech radzieckich partyzantów. Nagle na podwórzu pojawiło się kilkunastu Niemców:

— Partizant... Partizant...

Lewandowski wzruszył ramionami: „Nyks partyzant... Nie ma”...

Niemcy rozbiegli się po podwórzu. Chudy, wysoki, jak grochowa tyczka żołdak, przystawił drabinkę do chlewek, wdrapał się do góry. Lużą automatu pchnął drzwiczki... Czoło Lewandowskiego pokryło się wielkimi kroplami potu. Niemiec nie zdecydował się jedna: wejść do środka...

Zaczął wrzesić mruzcąc frontowe armaty. Lewandowski z lubością wsłuchiwał się w odgłosy. A były one co dnia silniejsze, bliższe...

**B**EZ pytania weszła do domu Lewandowskich nowa dola. Gościa przyjęto z otwartymi ramionami. I nie wypuszczono go aż do chwili obecnej. Lewandowskiemu wydawało się, że to jest tak, jakby po długim deszczu zaświeciło słońce. Toteż laził po wsi i wygrzewał się pod jego promieniami. Czytał chyba po raz dziesiąty biały z czerwonym obramowaniem plakat, który zaczynał się od dużych drukowanych słów: „Manifest Lipcowy”... Dalej pisało niemal jota w jota to samo, co kiedyś mówił Olek Szymański. Lewandowski podziwiał chłopaków, co latali po wsi z karabinami, a na rękawie każdy miał opaskę z napisem: „Milicja”. Napis najczęściej wykaligrafowany był atramentowym ołówkiem.

Władek wyjechał w Hrubieszowskie, gdzie otrzymał ziemie. Stefan wstąpił do Milicji, reszta dzieci uczęszczała do szkoły. Nowe życie wylażyło z każdego kąta chałupy. Widać je było na każdym kroku. W sadzie Lewandowski „zaoczkował” parę drzewek, sprawił sobie nowy wóz, dokupił krowę. Do domu stałe przybywały jakieś fatalaszki. Dzieci wyglądały schłodniej. Pole podsypano nawozami. W 1947 r. wstąpił Lewandowski do PPR. Wytlumaczył mu, że w partii prędzej poimie jak się świat kręci, lepiej zrozumie wszystko. Ale i więcej będzie musiał robić. Dzięki partii jego świadomość znów zrobiła wielki krok naprzód. Przejawiało się to nawet w białych, zdawać by się mogło śmie-

sznych sprawach. Lewandowski nie lubił sprzeciwiać się żonie. Już taką miał naturę. Nie bardzo pojmowała Lewandowska, że manna z nieba nam się nie sypała i nie sypie. Ze budynek nowego jutra trzeba stawiać nieraz w trudzie i pocie. Jak czego brakowało w spółdzielni zaraz w domu krzyk: „A ni ma tego, a tamtego, a to to, a to tamto”. Lewandowski przełamał teraz swój dawny zwyczaj i z miejsca strofował:

— Czego pleciesz głupoty? Myślisz, że się wszystko na kamieniu rodzi? A co budujemy, to pies?...

A już prawdziwą batalię stoczył w domu, kiedy przyszło do zakładania spółdzielni produkcyjnej.

O spółdzielni mówilo się we wsi jeszcze w 1949 r. Różne płały się po wsi gadki, lażyły plotki od obojęticia do obojęticia. Niepokoiły ludzi, straszły, tumanily. Chociaż księdza Barczewskiego już dawno w Rzeczycy nie było, ożyły jego nauki. Znów mówił się o „zgodzie co buduje”, o „solidarności gromady”, „pańszczyźnie bolszewickiej”. Nawet i o tym, że „pan Bóg karę spuścił na komunistów”. Plotki legły się ponoć na plebanii i stamtąd rozlażyły się po wsi. I nie tylko na plebanii. W bogatych domach Jacka Oskrobę, Kuśmierza, Zarzeczego — także.

Lewandowski w te banialuki nie wierzył. Wiedział, że partia nie kłamie, nie chce jego krzywdy. Ale żona uparła się jak kozioł: — Nie pójdę. Głupiejesz na starość... Żle ci to, że się pchasz do spółdzielni?...

Lewandowski nie bardzo początkowo napierał. Bo mówiąc między nami to i do niego od czasu do czasu pchały się podobne myśli. Ale z drugiej strony nachodziły go chęć do spółdzielni. Jakiś robak wkrał się do duszy i nie chciał z niej wyjść. Nie pomogły żadne odtrutki. Robak dalej duszę toczył. Aż odsunął Lewandowski przy pomocy partyjnych towarzyszy leżący na drodze kamień i otworzył się przed nim szeroki, twardy gościec. Zaczęła się w domu prawdziwa wojna. Żona w jedną stronę, a on w drugą. Po długich perswazjach, namowach zgo dziła się. (Z tej całej sprawy naciękawsze, że dzisiaj jest ona jednym z najbardziej pracowitych członków spółdzielni).

Ale nim ta spółdzielnia powstała — ileż to było harówki. Były chwile, kiedy chciało się wszystko rzu-

cić, albo wziąć pałę do ręki i rąbnąć w ciemną pierwazę z brzegu chłopaką, co nasłany przez kulaków wykrzykiwał: „Bolszewiki, działy!” Poszedłby człowiek siedzieć, ale przynajmniej inni przestali. Do rzeczki po wodę nie wyjdiesz, bo chłopaków i bab całą chmara. Plują, kamieniami ciskają, ziemią.

Wbijali pale na spółdzielczym polu. Kilku ich zaledwie było. Babicz, Franek Szymański, Lewandowski i jeszcze paru innych. A bab i dzieciaków przylażyło na pole ze sto. Rej wodziła kulaczka Jackowa Jadwigą i bogata Józwiakowa. Babicz wybierał akurat nowy pałik, kiedy poczuł uderzenie kamieniem w plecy.

— Lewandowski nie wytrzymam. Jak trzępę którą...

— Wytrzymasz...

Rosta spółdzielnia. Rósł w niej Lewandowski. Pokochał wspólną robotę. Trzeszczył się o kolektywny dorobek. Wybudowali spółdzielcy piękną oborę, a w niej postawili 40 sztuk bydła, buhaja, 5 koni. Rozpoczęto budowę magazynu. Pierwsza dniówka obrachunkowa wypadła ładnie, bo aż 30 zł. Lewandowski został sekretarzem organizacji partyjnej.

Były ciężkie chwile i dla spółdzielców. Nowe przecież zawsze rodzi się z trudem. Uciekł ze spółdzielni Marcell Szymański, brakowało kredytów, nie wszyscy wychodzili do pracy. I jeszcze teraz jest w Rzeczycy dużo do zrobienia. Ale trudy hartują ludzi — zahartowały więc i Lewandowskiego.

A w domu znów się trochę zmieniło. Władek wrócił do Rzeczycy. Jest brzdkiem w spółdzielni. Dan-ka pracuje w jakimś biurze w Opolskim. Stefan jest w Milicji, Zygmunt wybrał zawód traktorzysty. 15-letnia Gienia w tym roku wyjeżdża do szkoły handlowej w Stalingradzie.

Wiele ścieżek przeszedł Lewandowski zanim wkroczył na właściwą drogę, która zmieniła jego życie.

Świadomość jest jak skomplikowana maszyna. Stale dokręcasz w niej jakieś śrubki. Najważniejsze jednak, aby przy dokręcaniu nowych nie rozluźniły się dawniej już dokręcane. Jeżeli ktoś osiągnie ten etap to znaczy, że jest na dobrej drodze.

Ryszard Liskowski

## Ojczyźnie wolnej

Nikt cię na skrzydłach muzy ojczyzny nie przyniosł... Nie kwitłaś nam ojczyzny przy drogach makami — Szała do nas przez okopy, zza ognia i dymu. I ludzie cię witali kwiatami i łzami...

Nie padłaś ty ojczyzno jak słońce przejasno Na drogę, poprzez które wojska ciągly piękne, Aleś kreśliła wolność nadzieją i marszem — Z pieśnią jutra na ustach, z sercem nieulekłym

Szły wojska, sztandar sławy przynosząc do Polski... Tyś nie z wiatru, co szarpał sztandary wolności Aleś z woli serdecznej, z krwi naszej i troski, Aleś z żalu i zemsty... z goryczy... z miłości.

To dlategoś nie pańska, nie księża, lecz nasza. Myśmy pleśń twą przeniesili przez wiatry i mrozy Nasze ręce nawykłe do młota i maszyn Ster ujęły choć zbier śmiercią groził.

Myśmy mosty rzucali poprzez rzeki huczące Drogi kładli przez miasta, które wróg zgasił wojną — Myśmy dali ci w darze dni od pracy gorące, Pieśń radosną i dumną, noc po trudzie spokojną.

Jeśli zbier, który kulą groził, Ojczyzno Znow nam w serce gniew rzucił i broń wyjmie spod płaszczu Przysięgamy na szczęście, przysięgamy na przyszłość Wróg nie ujdzie dziś kary — nasz gniew będzie straszny.

Nikt cię na skrzydłach muzy ojczyzny nie zesłał, Ale stawię cię słowem poezji najszczęśliwym... Kraju wolny, gdzie ludzie sny kolyszą w pieśniach, Gdzie robotnik po pracy czyta dobre wiersze.



Janina Godlewska

## Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej to radosna rzeczywistość wszystkich ludzi pracy

Minął rok... Trudniejszy może niż poprzednie, lecz radośniejszy zarazem. Nie zliczyłbyś nowych cegieł wmurowanych ofiarnymi dłońmi, nowych hal fabrycznych, nowych szkół, pięknych jasnych domów. Tu nowy szpital, tam nad morzem czy w górach nowy wczasowy dom, w Krynicy sanatorium, a tu w FSC buduje się właśnie nowy żłobek i przedszkole... Słowa stają się zbyt banalne, gdy przyjdzie je dobierać mówiąc o tej jedyniej w swoim rodzaju księdze życia.

### DOMAGAŁA Z BRONOWICKIEGO OSIEDLA

Może i lepiej bo prościej mówił o tym tokarz Domagała z FSC im. Bolesława Bieruta, gdy po robocie siedząc na sterce złożonych na dziedzińcu bali, liczył swoje dobre i złe lata, całe życie, w którym dopiero teraz ku schyłkowi przybyło tyle jasnych dni.

— Ja tam widziacie nie umiem górnolotnie mówić, bo to człowiek więcej biedy w życiu się nalykał niż ciów poznał, 4 klasy tylko skończyłem, ale ile tylko razy pomyślałem o naszej Konstytucji to mi jakoś dziwne cale życie przed oczyma staje. Nie zrozumie tego ktoś, co tak jak ja kiedyś za robotą latami nie chodził, głodem nie przymierał i nie parzył, jak dzieciaki niemal bez butów po śniegu latają.

Snuje się opowieść zwyczajna, bo przecież takich wiele.

Obrzymia większość robotników w Polsce przedwzrostowej latami jak Domagała szukała pracy. Dziś rodzina Domagały mieszka w ślicznych pokojach na ZOR, jedna córka zdała maturę, druga od jesieni idzie na uniwersytet, a on w tym roku wyjedzie do sanatorium podreperować nadzarcnięte ciężkimi latami zdrowie. Drugi raz zresztą, bo już miesiąc spędził w sanatorium w Krynicy.

Artykuł 60: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz do pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy” jest rzeczywistością wszystkich ludzi pracy w Polsce Ludowej tak samo jak artykuł 58, który głosi: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do pracy”.

Tę upragnioną ongiś pracę zapewnią „społeczna własność podstawowych środków produkcji, rozwój na wsi ustroju społeczno - spółdzielczego, wolnego od wyzysku, planowy wzrost sił wytwórczych, usunięcie źródeł kryzysów ekonomicznych, likwidacja bezrobocia”.

### JAK ŻYJĄ CHŁOPI W SZCZĘSNEJ WÓLCIE

Leon Burak wraz z rodzicami i czterema braćmi siedział przed wojną na 4 morgach piachu w krańciskiej Wólce Szczęsnej. Szczęsna to była Wólka, ale chyba dla dziedzica Kiełczewskiego, bo rodzina Buraków nie tylko szczęścia, ale chleba łaknęła. Żył w biedzie na tej swojej wydymie z rodziną, w walce się chałupie aż udało się wreszcie ojcu umieścić syna we dworze za stelmacha.

— Mówię wam o tym wszystkim — tłumaczy Burak, żebyście zrozumieli, że między życiem naszej wioski za sanacji i teraz jest wielka różnica. A gdy w wiosce było źle to i u nas w chacie. Nikomu się tam z gospodarzy nie śniło nawet, że swojego chłopaka do szkół pošle. Z naszej rodziny brat na kowala, a ja na stelmacha się wyczylił, to było wszystko o czym ojciec mógł zamarzyć. A kiedy pojadę do rodziny na Wólkę dzisiaj, to myślę same się nasuwają, że teraz do naszej biednej wioski naprawdę dotarła Konstytucja, bo te dawne wydawane za sanacji to chyba dla dziedziców Kiełczewskich były, nikt z chłopów nie z takiej konstytucji nie zyskał. Dziś więcej niż 30% dzieciaków do szkół poszło. Uczy się syn Mazurków w gimnazjum, syn Tyza, syn Buraka — mego brata, syn Jagiełły i drugiego Mazurka — chodzą do Budowlanki. Córki znów Jagiełły i Mazurka wyczyły się na nauczycielki...

I ja właśnie, gdy myślę o Konstytucji to zawsze mi to życie z naszej wioski przychodził na pamięć, choć dziś nauczyłem się fachu i jestem robotnikiem.

Szczególnie o tę naukę mi chodzi — bo pamiętam przecież jak to kiedyś ojcowie się szarpali, żeby syna na naukę oddać, innym dzieciom wprost od ust odejmując. A teraz dzieciaki uczą się i jeszcze stypen-

dia dostają, mieszkają w bursach, państwo się o wszystko martwi.

Burak zadumał się, przestał mówić, na chwilę przeniesiony myślą w dawne czasy swego ubożego dzieciństwa. Po chwili jednak wraca do swego opowiadania.

— W Konstytucji naszej pisze: „Prawo do pracy zapewniają społeczne środki produkcji i rozwój na wsi ustroju społeczno - spółdzielczego”. Pamiętam jak to kiedyś człowiek tej pracy pragnał, bo z ziemi nie było mowy, żeby wyżyć. Tułałem się nieraz pod fabryką w Budzynie, a strażacy tylko czekali, żeby wodą z sikawek ludzi rozpuścić. Do roboty się dostales, gdyś dał 100 zł majstrowi, ale nim żeś 30 zarobił już cię wyrzucili...

A teraz ja już nie tylko umiem robić na największych maszynach, ale mistrzem nawet zostałem. O robotę się nie martwię, dla mnie starczy i dla dzieci moich. Chłopi z naszej Wólki to dziś przodownicy pracy w lipskiej nasycałni. Wielu ich tam pracuje... Bratu też się poszczęściło. Dostał 15 ha na Ziemniach Odzyskanych. Do spółdzielni produkcyjnej wstąpił i żyje wreszcie jak człowiek...

### WCZORAJ TRAKTORZYSTA JUTRO INŻYNIER

„Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do nauki. Prawo do nauki zapewniają w coraz szerszym zakresie: pomoc państwa w podnoszeniu kwalifikacji obywateli zatrudnionych w zakładach przemysłowych i innych ośrodkach pracy w mieście i na wsi, system stypendiów państwowych, rozbudowa burs, internatów, domów akademickich oraz innych form pomocy materialnej dla dzieci robotników, pracujących chłopów, inteligencji”.

Młoda energiczna twarz Gieruli wydaje się znajoma... No tak... Przecież to on właśnie przed trzema laty za mojego pobytu w Zdżaryncie demonstrował mi z dumą „swoją” Stalnicę. Dziś właśnie młody traktorzysta w podobnym zresztą kombinononie stoi przy obrzymiej tokarce obrabiając części w wielkiej hali narzędziowej FSC.

— Skończyłem właśnie I rok studiów na Politechnice we Wrocławiu i przyjechałem rodzinne strony

odwiedzić Miesiąc tu — na praktykę w Fabryce Samochodów, a później jadę do rodziców. Co myślę o Konstytucji? To, że jest to pierwsza Konstytucja uchwalona z myślą o ludziach pracy że właśnie każdemu coś daje i to już nie w teorii, a w praktyce, w codziennym życiu. Kiedyś to się niby pisało „prawo do nauki”... No pewnie, chcesz to się uczyć, ale za co zapłacić czesne, to się już tam panowie uchwalający konstytucję nie martwili. O to ich głowa nie bolała. Dziś, towarzysko nie tylko naukę mam bezpłatną, ale jeszcze dostaję stypendium, mieszkam w bursie. To jest dopiero prawdziwe prawo do nauki.

### SPOTKANIE W NADMORSKIEJ WSI

W pięknym nowoczesnym wczasowym domu Julia Chłopaś czuła się świetnie. Przyjechała tu na wypoczynek po roku wyteżonej pracy. Jasny pokój z widokiem na morze, plażę, kąpiel. Wycieczki statkiem, świetne wyżywienie, moc książek. O tym wszystkim Julia Chłopaś, robotnica z Fabryki Cukierków „Pszczółka” kiedyś nawet marzyć nie śmiała. Dziś Konstytucja Polkiej Rzeczypospolitej Ludowej zapewnia każdemu obywatelowi prawo do wypoczynku. W artykule 59 czytamy: „organizacja wczasów, rozwój turystyki, uzdrowisk, urządzeń sportowych, domów kultury, klubów, świetlic, parków i innych urządzeń wypoczynkowych stwarzają możliwości zdrowego i kulturalnego wypoczynku dla coraz szerszych rzesz ludu pracującego miast i wsi”.

I właśnie w pięknie położonej rybackiej wsi na Helu Julia Chłopaś znalazła wcielone w życie owo ustalone Konstytucją prawo do wypoczynku.

Jest ich wielu. Kobiety, młodzi chłopcy, dziewczęta, dzieci, starcy. Jest wśród nich Halina Kuflewska, której synek świetnie się chowa w przyfabrycznym żłobku i Zofia Bobel, co zdobyła zawód w FSC i Izyci, i młody technik Dudek. Jest ich miliony ludzi, do których mieszkań, do warsztatów dotarła Konstytucja i z dnia na dzień zmienia ich życie na coraz bardziej radosne, coraz bogatsze.

Prof. dr Bohdan Dobrzański

Rektor UMCS

## Rozwój szkolnictwa wyższego w Lublinie

W rocznicę 22 Lipca wracamy myślą do historycznego Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

Od pierwszych chwil swego istnienia Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego troszczył się o kulturę, oświatę i naukę.

Jednym z licznych dowodów troski PKWN o szkolnictwo i naukę jest fakt powstania lubelskich państwowych wyższych uczelni.

Jeszcze nasze miasto było bombardowane przez wrogie samoloty, gdy dnia 23.X. 1944 r. ukazał się dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego o powołaniu do życia w Lublinie Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej. Dekretem tym utworzono: Wydział Lekarski, Weterynaryjny, Rolny i Przyrodniczy, a następnie dnia 9.I. 1945 r. powołano Wydział Farmaceutyczny. W 1949 roku otwarto szósty Wydział — Prawa.

Uczelnia w tym okresie umacnia się, krzepnie organizacyjnie i staje się na tyle silna, że w r. 1950 rozdziela się na dwie samodzielne wyższe uczelnie. Od tej chwili mamy w Lublinie: Uniwersytet Marii Curie Skłodowskiej, z Wydziałami: Prawa, Matem.-Przyr. i Weterynaryjnym oraz Akademię Medyczną z Wydziałami: Lekarskim i Farmaceutycznym.

Rozdział na dwie uczelnie przyspiesza rozwój lubelskich zakładów naukowych i przyczynia się do powiększenia ilości katedr. Na obu państwowych uczelniach znajduje się w tym czasie ok. 100 katedr oraz szereg zakładów i klinik, które dzięki pracy profesorów, asystentów i technicznego personelu — przy pomocy i poparciu Władzy Ludowej — zaopatrzone są w nowoczesny sprzęt i potrzebną do badań naukowych aparaturę.

Warunki do pracy naukowej były już w tym okresie tak dobre, że mogło powstać szereg cennych prac badawczych, o czym świadczy fakt

uzyskania w r. 1950 przez pięciu naukowców Uniwersytetu MCS w Lublinie Nagród Państwowych.

Rok 1951 przynosi dalszy rozwój Uniwersytetu, nowe specjalizacje i kierunki nauczania. Wydział Przyrodniczy ulega reorganizacji i powstają: Wydział Biologii i Nauk o Ziemi oraz Wydział Matematyczno-Fizyczno-Chemiczny, a tym samym Uniwersytet liczy w tym czasie pięć Wydziałów.

Rok 1952 jest rokiem dalszego rozwoju Uniwersytetu MCS, gdyż utworzono Wydział Humanistyczny, z kierunkiem historycznym. W roku tym utworzono szereg nowych katedr na Wydziale Humanistycznym, Rolnym i Weterynaryjnym.

Rok 1953 charakteryzuje się dalszym rozwojem szkolnictwa wyższego w Lublinie. Z nadchodzącym rokiem akademickim powstaje w Lublinie nowa wyższa uczelnia — Wyższa Szkoła Inżynierska.

Jednocześnie na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej otwarto zostanie nowy (siódmy) Wydział Zootechniczny, a na Wydziale Humanistycznym nowy kierunek — filologii polskiej.

W końcu Planu 6-letniego przewidziane jest powstanie czwartej uczelni, a mianowicie Wyższej Szkoły Rolniczej z 3—4 Wydziałami.

Równocześnie ze wzrostem uczelni i wydziałów, rośnie ilość studiuja-czej na tych uczelniach młodzieży. W r. 1944/45 studiowało około 1.000 osób, w r. 1947 około 2.500, w roku 1950 około 3.400, a w roku 1952 około 4.000 młodzieży.

W nadchodzącym roku akademickim będzie przyjętych na Państwowe Wyższe Uczelnie w Lublinie na I lata studiów około 1.300 osób z Lubelszczyzny, Rzeszowskiego i innych terenów naszego państwa.

Wskaźnik wzrostu kończących studia w Lublinie przedstawia się następująco: 1945 — 100, 1950 — 1.097, 1952 — 2.951.

### Zwzrost Budzyski

Dyr. Wojewódzkiego Oddziału PPK „Ruch” w Lublinie

## Rozwój czytelnictwa prasy na Lubelszczyźnie

W dniu radosnej rocznicy uchwalenia Manifestu PKWN spróbujmy zrobić bilans naszych osiągnięć na polu rozwoju czytelnictwa prasy na terenie naszego województwa. Już pierwszy rzut oka na cyfry z okresu władzy sanacji tj. sprzed 1939 r. i z okresu Władzy Ludowej nawet w Jej zaraniu, przekonają nas, że dorobek nasz jest naprawdę imponujący. W okresie międzywojennym na terenie naszego województwa rozchodziło się dziennie ok. 95 000 egzemplarzy prasy — różnych wydawnictw. Gros nakładów, bo ponad 75.000 pozostawało na terenie miast, a reszta znajdowała swoje ujście na wsi. Tak mówią ówczesne statystyki. Ale czy te pisma, które szły w teren i na wieś, czytane były przez chłopów? Na pewno nie, a jeżeli, to w bardzo nielicznych wypadkach. Te egzemplarze, które określa się, że szły na wieś, trafiały do rąk dziedziców, arystokracji wiejskiej i ma-ło-młasteczkowej. Działo się to z dwóch względów: raz że na wsi, wśród szerokich rzesz chłopstwa, panował analfabetyzm, z drugiej strony nieliczna garstka chłopów umiejąca czytać, nie mogła sobie pozwolić na prenumeratę i czytanie gazet, z uwagi że gazeta była za droga.

Dopiero Władza Ludowa, realizując zapowiedziany w Manifestie Lipcowym pełny rozwój oświaty i kultury, stworzyła warunki do rozwoju czytelnictwa prasy, jako jednej z najbardziej prostych form podnoszenia oświaty i kultury wśród najszerzego mas. Gazeta wydawana w Polsce Ludowej zmieniła całkowicie swój charakter redakcyjny. Nie ma u nas szmatławców, obliczonych na otumanienie lu-

dzi i odciąganie ich uwagi od istotnie interesujących zagadnień społecznych, jak to było w okresie rządów sanacji. Nasza gazeta stała się rzetelną informatorką, wychowawczą i mobilizatorką swoich czytelników do walki o lepszą przyszłość, o realizację zadań produkcyjnych jako podstawy lepszej przyszłości. Nic też dziwnego, że taka gazeta zyskała od razu i zyskuje coraz większe rzesze czytelników.



Teodor Panasiuk przodujący kolporter ze spółdzielni pracy „Sprawność” w Łukowie.

Już w okresie pierwszego pięcioletnia po wyzwoleniu, tj. na początku 1950 roku, nakład pism w samej tylko prenumeracie pocztowej, prenumeracie rozchodzącej się na terenie wsi wyzwolonej z pet obszarnika, —

wynosił blisko 2-krotny łączny nakład pism wychodzących do 1939 roku na terenie Lubelszczyzny i wyrażał się cyfrą ponad 172.000 egz. Do tego trzeba dodać około 94.000 egzemplarzy rozchodzących się w prenumeracie zakładowej (dla robotników liczących u nas zakładów pracy), oraz 76.000 egz. sprzedawanych w kioskach, a będziemy mieli cyfrę 342.000 egzemplarzy jednorazowego nakładu dziennego.

Mimo tego, że cyfra ta już w tym okresie była imponująca, to z roku na rok wzrastała i osiągała kolejno w 1951 r. ponad 470.000. łącznego dziennego nakładu, w tym ponad 265.000 egzemplarzy prenumerowała wieś. W 1952 r. łączny nakład zbliżył się do 600.000 egzemplarzy z czego wieś prenumerowała już 360.327 egzemplarzy. W roku 1953 wprowadzono wyższą formę kolportażu i w myśl realizacji hasła: „z właściwym piśmem do właściwego czytelnika” opracowano plan rozwoju czytelnictwa, zgodnie z zainteresowaniem i potrzebami szczególnie czytelników wiejskich. Szereki wachlarz wynoszący ponad 300 tytułów, już w 1-szym półroczu realizacji nowej polityki kolportażowej dał dalszy wzrost czytelników na wsi o ponad 50.000 i osiągnął jednorazowy dzienny nakład 412.000 egz. (dane na m c VI. 1953 r.).

Zestawmy te cyfry z ilością ludności w naszym województwie i porównajmy je z takim samym zestawieniem sprzed 1939 roku — to dowolimy się, że do 1939 roku 1 gazeta wypadła na około 70 mieszkańców wsi, podczas gdy w 1950 roku 1 gazeta przypadała na 7,2 mieszkańców, w 1951 roku na 4,7

mieszkańców, w r. 1952, na 3,8 mieszkańców, a obecnie 1 gazeta przypada na 3,2 mieszkańców. A w niektórych powiatach jak np. lubelski — 1 gazeta przypada na 1,6 mieszkańców.

Takim imponującym wzrostem czytelnictwa nie może się poszczycić żadne kapitalistyczne państwo. Poważny wkład w akcję upowszechnienia i umasowienia czytelnictwa mają na terenie wsi listonosze wiejscy. Za ich to pośrednictwem i w wyniku ich pracy, wieś lubelska ma tak szeroki dostęp do gazet. Są wśród nich tacy jak: Henryk Przybysz, z urzędu poczt. Radzów Podl., Czesław Gajewski, UPT, Mołodiatyca, Błażej Majczyński z UPT, Szostka, przodujący listonosz z UPT Goraj i wielu innych, którzy systematycznie podnoszą liczbę prenumeratorów, weryfikują z miesiąca na miesiąc coraz to nowych czytelników.

Są obwoły, które systematycznie przekraczają wykonanie planów. Jak ostatnio Krasnostaw wykonujący 103,9 proc. planu, Hrubieszów — 103,6 proc., Lublin pow. — 101,9 proc. Tak samo jak listonosze na wsi, tak na terenie zakładów pracy kolporterzy zakładowi ponoszą duże zasługi w rozwoju czytelnictwa wśród robotników. I tu nie brak przodujących. Do takich należy: Borowiecki z Zakł. Rymarskich, Arciszanski z ZBM, Jadwiga Stefanik z OZK, Kot z ZBM Świdnik i wielu, wielu innych.

Taki imponujący rozwój czytelnictwa prasy na Lubelszczyźnie możliwy jest dzięki polityce Partii i Rządu i ofiarnej pracy zarówno kadry aparatu wydawniczo - kolporterskiego, jak również szerokiego aktywno jaki stanowią kolporterzy, przy wydatnej pomocy organizacji masowych.



Stanisław Brodziak

# Rozwój kulturalny Lubelszczyzny



realizowane przez Partię i Rząd, zagwarantowała Konstytucja.

Do roku 1952 istniały liczne, ale słabe, bo nie oparte na żadnej bazie materialnej, ożywające na krótki okres i gasnące świetlice gromadzkie i zespoły, prowadzone przez ZSch i ZMP. W 1952 r. doniosła uchwała Prezydium Rządu dała im mocne podstawy materialne. Zaczęły powstawać świetlice wzorcowe i domy kultury, których działalność oparta została na budżetach rad narodowych — z etatową, przeszkoloną obsadą.

W tej chwili oprócz 480 świetlic w gromadach indywidualnych, POM i PGR Lubelszczyzny czynne są 63 świetlice wzorcowe. Liczba tych ostatnich do końca br. wzrosła do 99, a w najbliższych latach stworzy pełną sieć gminną, na wzór sieci bibliotecznej. Powiatowych domów kultury opierających swą pracę na budżetach państwa będzie w rb. 7. W placówkach tych działa około 1.500 zespołów artystycznych i oświatowych.

Spójrzmy teraz na rozwój innych form upowszechnienia kultury: na kina i radiofonizację. W Polsce przedwójkowej było na Lubelszczyźnie 38 kin. Repertuar — najczęściej bezwartościowa zmiara. Cel — przynoszenie jak największych zysków grupie producentów i właścicieli. W tej chwili mamy już 138 kin, w tym 80 wiejskich kin stałych. Seanse filmowe obejrzało tylko w 1952 r. około 5,5 milionów widzów. Radiofonizacja przed rokiem 1939 w województwie naszym w ogóle nie istniała. A teraz mamy już 120 radiowęzłów, 55.000 głośników, ponad 600 radiofonizowanych wsi i Ekspozytura Programowa Polskiego Radia — zaczątek przyszłej rozgłośni lubelskiej.

Duży postęp uczyniło u nas szkolnictwo artystyczne. Zamiast 2-ech prywatnych szkół w roku 1939, w których nauka kosztowała drogo i mogły z niej w zasadzie korzystać tylko warstwy uprzywilejowane, mamy dziś 12 szkół i ognisk artystycznych. Uczy się w nich ponad 1700 młodzieży, pochodzenia w 75 proc. robotniczego i chłopskiego, korzystających z bezpłatnej nauki

oraz w części z internatów i stypendiów państwowych.

Wiele wysiłku włożono w ratowanie pomników kultury narodowej.

Odbudowanym zabytkom nadano odpowiednie formy użytkowe i włączono je w nurt życia współczesnego. W latach ubiegłych pracami konserwatorskimi objętych było kilkadziesiąt najcenniejszych obiektów w Lublinie, Zamościu, Kazimierzu, Puławach oraz w wielu innych miejscowościach. Trwają prace w Radzyniu i Lubartowie. Stare Miasto w Lublinie odzyskało powoli swoje dawne oblicze. W latach 1953—54 zrekonstruowany zostanie fragment murów obronnych Lublina. Oczyszczono z gruzów przedpole murów pokrycia skwery i zieleńce. Przedmiotem troski państwa w latach najbliższych będą również Kazimierz i Zamość — wspaniałe, czołowy przykład urbanistyki polskiej XVI-go wieku, gdzie przewiduje się progresywną konserwację elewacji kamiennej Rynku Głównego i doprowadzenie go do pierwotnego wystrój architektoniczny.

Osiągnięcia Lubelszczyzny są wielokierunkowe i niesposób omówić ich w całości w jednym artykule. Nie można jednak pominąć roli, jaką odgrywa w upowszechnieniu kultury państwowe przedsiębiorstwa artystyczne: Teatr Dramatyczny, Filharmonia, Artos, Pracownia Sztuk Plastycznych ani współtworzących socjalistyczną kulturę naszych stowarzyszeń twórczych: Związku Literatów Polskich i Związku Polskich Artystów Plastyków. Nie można pominąć również Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, spełniającego doniosłe funkcje społeczne dla ośrodków wiejskich i miejskich przez nasilenie całego terenu systematyczną akcją odczytową o tematyce przyrodniczo - światonogłądowej, społeczno - politycznej, literackiej, ani naszych muzeów, w których dokonany się zasadnicze przemiany w treści i formie i które z zatechnych magazynów przypadkowo zebranych eksponatów przemieniły się w placówki żywe, służące wychowaniu nowego człowieka. Trzeba również przynajmniej wspomnieć o szeroko rozwiniętej na

naszym terenie akcji popierania twórczości ludowej i opieki nad samorodnymi talentami przez systematyczne organizowanie wystaw, zakupy, nagrody, premie i kierowanie młodych talentów do szkół artystycznych.

Rzut oka w przyszłość odsłania nam coraz szersze i wspanialsze perspektywy rozwojowe. Już w bardzo niedługim czasie nie będzie już bez punktu bibliotecznego i radia. W planie pięcioletnim świetlice wielkie będą budowane tak jak się buduje szkoły. Krzywa naszego wzrostu pnie się nieustannie w górę.

Wielki wzrost ilościowy placówek upowszechniających kulturę nie miałby jednak większego znaczenia, gdyby nie zasadnicze zmiany w treści ich pracy. Nowy repertuar, nowy styl pracy przeniknął do programów naszych teatrów i zespołów, do zajęć naszych placówek kulturalno-oświatowych. Wszyscy pracownicy kultury, wszyscy placówki upowszechniające kulturę świadomie służą całemu narodowi w jego walce o lepsze jutro, pomagają partii, państwu i całemu społeczeństwu w kształtowaniu nowych socjalistycznych stosunków między ludźmi, w wychowaniu nowego człowieka w Polsce Ludowej.

I to jest zasadniczy wskaźnik naszego rozwoju, to jest zasadnicza treść dokonywanej się wielkiej rewolucji kulturalnej.



Często słyszy się i czyta krytyczne uwagi n. t. działalności placówek upowszechniających kulturę. Często przy okazji festiwalów i eliminacji spotykamy się z surową oceną zespołów amatorskich, ich niewystarczającej i niesystematycznej pracy, odbijającej się na poziomie artystycznym. Krytykujemy przedstawienia teatralne, repertuar, koncerty, niedostateczne nasilenie terenu przez Artos. Krytykujemy stan i ilość czytelnictwa, niepełne wykorzystanie księgozbiorów, zły styl pracy naszych świetlic i domów kultury, ich niewystarczające wyposażenie, niedostatecznie przeszkolone kadry.

Dziesiątki listów z odległych wsi upominają się o kredyty na budowę świetlic gromadzkich, dziesiątki listów proszą o instrumenty muzyczne, o instruktorów, o aparaty radiowe, o kostiumy, otwarcie stałego kina, o radiofonizację wsi. Interwencje i prośby płyną wszystkimi drogami, przez prasę, radio, rady narodowe, przez Kancelarię Rady Państwa i Gabinet Ministra.

Krytyka jest słuszną. I czytelnictwo jest za słabe, i świetlice nie pracują jak należy, i nasycenie terenu imprezami artystycznymi i odczytami nie jest ani równomierne, ani wystarczające.

Większość gmin nie ma jeszcze kin stałych, większość gromad nie jest jeszcze radiofonizowana i nie ma budynków świetlicowych. I jakkolwiek żaden z listów nie pozostaje bez odpowiedzi, nie zawsze można znaleźć natychmiastowe rozwiązanie trudności, zaspokoić wszystkie potrzeby już dziś, już w najbliższym czasie.

Nie ma przecież w Polsce jakiegokolwiek cudownego rogu obfitości, z którego na magiczne zaklęcie wysypią się kadry przeszkolonych instruktorów, nowe sale widowiskowe i kina. Wszystko, cokolwiek powstaje, świetlice i domy kultury, radiofonizowane wsie i biblioteki ujęte jest w wielki socjalistyczny plan, plan gospodarczy, znaczący się na przestrzeni lat ubiegłych i przyszłych coraz bardziej planową linią wzrostu.

Wszystko cokolwiek powstaje — powstaje i pracy robotnika i chłopca pracującego, budujących nową, socjalistyczną ojczyznę. Rozwój kultury i inwestycji kulturalnych przebiega równoległe do wzrostu siły gospodarczej i politycznej naszego kraju.

ROK KOPERNIKOWSKI



W ramach uroczystości związanych z 410 rocznicą śmierci Mikołaja Kopernika, w Krakowie odbyła się uroczystość przeniesienia pomnika wielkiego uczonego polskiego z dziedzińca Collegium Maius na Plac przed gmachem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na zdjęciu: pomnik Mikołaja Kopernika na nowym miejscu.

Listy zaś i interwencje świadczą o tym, że mimo obrzytnego wzrostu i rozwoju kultury, potrzeby mas rosną, że rozbudowa i wiekowego zaniedbania kulturalnego wsi polska coraz chciwiej sięga po te zdobycze, które dała jej władza ludowa, które zabezpieczyła jej Wielka Karta Prawa — Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Że z coraz większą świadomością i pasją zrzuca z siebie niewolę zaboru i zacofania. Te listy i interwencje wzmocnić powinny wysiłki każdego pracownika kulturalnego, bo świadczą one o rozbudowanym i ciągle jeszcze niezaspokojonym pragnieniu jak najszerszego dostępu, jak najpełniejszej konsumpcji kultury, najszerszych mas naszego narodu.

Żeby ocenić drogę, którą przeszliśmy w naszym województwie i osiągnięcia, których dokonaliśmy na polu upowszechnienia kultury na przestrzeni dziesięciu lat naszej niepodległości, w warunkach stworzonych przez władzę ludową — spójrzmy na chwilę wstecz.

Przypomnijmy sobie naszą wieś, nasze miasta, całe nasze województwo, biedne, zacofane, będące jakby czworakami jaśniepańskiej Polski wielkich bossarników i kapitalistów. Przypomnijmy sobie niezmiernie niski stan kulturalny naszego województwa w okresie międzywojennym, utrzymywany sztucznie przez rząd sanacyjny, który z jednej strony utrudniał rozwój kultury w ogóle, z drugiej zaś uniemożliwiał dostęp do niej masom robotniczym i chłopskim. Przypomnijmy sobie zniszczenia spowodowane przez hitlerowski najazd, ruiny miast i wsi. Porównajmy rok 1944, pierwszy rok wyzwolenia Lubelszczyzny przez Armię Czerwoną i Wojsko Polskie, kiedy Manifest PKWN wskazał drogę walki o nową Polskę — z rękami obecnymi. Zestawmy kilka cyfr i faktów.

Bilans strat wojennych był przerażający. Tak np. w bibliotekach publicznych zniszczeniu uległo 95 proc. księgozbiorów, najcenniejsze pomniki kultury leżały w gruzach, dotkliwie odczuwano się brak kadr kulturalnych, które i tak bardzo nieliczne, zostały jeszcze poważnie przetrzebione przez okupanta.

W roku 1944 zdołaliśmy uruchomić na Lubelszczyźnie zaledwie 21 bibliotek stałych ze śmieśmnie małą liczbą 7.000 tomów.

W roku 1953 mamy już pełną sieć bibliotek powiatowych, miejskich i gminnych, to znaczy 254 biblioteki stałe i 2.085 punktów bibliotecznych z księgozbiorem wynoszącym około miliona tomów. Przyrost tomów tylko w 1952 r. wyniósł ponad 200.000, czyli o 50.000 więcej od stanu, który uzbierał biblioteki w ciągu 20 lat międzywojennych. W cyfrę tę nie wlicza się wielkiej sieci bibliotek szkolnych, związkowych, społecznych i naukowych.

Dzięki tym sukcesom Polska, która w zakresie bibliotek i czytelnictwa stała za rządów sanacji na jednym z ostatnich miejsc w Europie, w tej chwili zajmuje drugie miejsce na świecie (po Związku Radzieckim).

Następnym wielkim osiągnięciem, zwłaszcza na wsi, jest rozwój świetlic i domów kultury. Nigdy wieś polska nie miała zorganizowanej pracy kulturalno-oświatowej, nigdy żadne rządy nie pomagały w rozwijaniu się różnorodnych form tej pracy, podnoszącej świadomość klasową chłopca pracującego, uczącej go naukowego poglądu na świat, dającej mu szerokie możliwości korzystania ze zdobyczy kultury i twórczego udziału w jej rozwoju. Dopiero w Polsce Ludowej prawa te

Maria Bechzyce-Rudnicka

## Lubelskie życie literackie

Międzywojenne broszury bibliograficzne rejestrujące ruch literacki na Lubelszczyźnie wykazują niezliczone, że pisarze, którzy się tu znajdowali w owych czasach, grupowali się w kilku kółkach i kółeczkach, holdujących po większej części modnym prądem formalistycznym. Lokalny związek zawodowy przeświadczył działalność od r. 1933 do 1937, przy tym z dłuższymi przerwami. Rozwijała się wyłącznie poezja, przeważnie osobista, apolityczna. Sporo poetów, po obiecujących debiutach, zamilkło na wiele lat. Krótko mówiąc, życie literackie, w sensie promieniowania na teren lokalnej twórczości pisarskiej nie istniało. Nie istniała też w ogóle akcja szerzenia w społeczeństwie zamiłowania do literatury.

Po powstaniu Polski Ludowej został zorganizowany w Lublinie już w maju r. 1945 oddział Związku Literatów Polskich, który bierze czynny udział w akcjach kulturalnych różnych instytucji i przyczynia się wydatnie do upowszechnienia literatury organizując własne imprezy popularne. Przeciętnie cztery razy na miesiąc odbywają się występy indywidualne lub zbiorowe literatów lubelskich. Są to zarówno odczyty, jak wieczory autorskie. Działalność ta, ograniczająca się początkowo do samego Lublina, obejmuje od r. 1949 cały teren województwa: literaci nasi docierają nie tylko do miast powiatowych, ale i do wsi, spółdzielni produkcyjnych, PGR, do zakładów pracy, do szkół. Członkowie Lubelskiego Oddziału ZLP współpracują z Wojewódzkim Komitetem Frontu Narodowego, z Komitetem Obrońców Pokoju, z Komisją Kultury i Oświaty przy WRN, z Wojewódzką Radą Czytelnictwa i Książki, z TPPR, z ORZZ, Towarzystwem Wiedzy Powszechnej, „Artosem”, z Lubelskim Radiowęzłem, z redakcją „Sztandaru Ludu” i „Życia Lubelskiego” itd.

Dużą rolę w przeobrażeniu psychiki naszych literatów odgrywa dyskusje ideologiczne i warsztatowe, prowadzone prawie co tydzień w sekcjach twórczości oryginalnej i przekładów. Sekcje te zajmują się kolektywną analizą utworów członków Oddziału oraz najwybitniejszych współczesnych powieści literackich z terenu całej Polski.

Znamiennym przejawem dążenia do prac zbiorowych było zorganizowanie pierwszego w Polsce kolektywu pisarskiego „Zaloga Nr 1”, który otrzymał w r. 1950 nagrodę literacką WRN za przekłady przyswajające scenie polskiej cenny dorobek dramaturgii radzieckiej.

Niektóre sztuki przetłumaczone przez Zalogę, jak „Trzy razy nie!” Dvchowiczego i Slobodskoją, bądź „Kalinowy gaj” A. Korniejczuka, były grane w Lublinie. Ostatnio kolektywu przelożył sztukę znakomitego pisarza postępowego Nazima Hikmeta pt. „Opowieść o Turcji”.

W trosce o nowe kadry utworzono w r. 1950 przy Lubelskim Oddziale ZLP Koło Młodych, rozszerzane drogą konkursów. Akcja poszukiwania talentów daje co rok nowych członków, którzy w dyskusji nad problemami literatury współczesnej zaprawiają się do pracy pisarskiej opartej na założeniach realizmu socjalistycznego. Wielu członków Koła drukuje już swoje utwory zarówno w lubelskiej „Kulturze i Życiu”, jak i w piśmie warszawskich. W rb. nasze Koło Młodych bardzo się skonsolidowało. Na ożywienie jego działalności wpłynął w znacznej mierze ogólnopolski zjazd w Oborach, a także nawiązanie ścisłego kontaktu z Kołem Warszawskim, którego przedstawiciele przyjeżdżali do Lublina.

Do osiągnięć Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich należy również zaliczyć jego działalność wydawniczą. Już na początku istnienia Oddziału literaci lubelscy wy-

dawali dwutygodnik literacko - społeczny „Zdrój”. Trudności okresu organizacyjnego nie pozwoliły jeszcze wówczas na stworzenie bazy finansowej dla tego rodzaju pisma. „Zdrój” przetrwał tylko kilkanaście miesięcy. Nie zniechęciło to jednak lubelskiego środowiska literackiego do dalszych poczynań wydawniczych: dwa lata później wydaliśmy pracę zbiorową pt.: „Rok 1848”. Tom zawierał utwory beletrystyczne oraz opracowania krytyczne i historyczne tematów związanych z Wiosną Ludów, traktowanych w skali europejskiej, z uwzględnieniem szerokiego tła warunków politycznych, ekonomicznych i kulturalnych w poszczególnych krajach, przy czym sprawy polskie, a wśród nich — związane z Lubelszczyzną, zostały specjalnie wyodrębnione.

Duże znaczenie ma dla rozwoju twórczości lubelskich literatów przejęcie przez Oddział kwartalnika społeczno - literackiego „Kamena”. Założone to pismo, które założył 20 lat temu K. A. Jaworski, borykało się w okresie międzywojennym z trudnościami finansowymi. Polska Ludowa stworzyła dla „Kamena” możliwości rozwojowe. Rok temu kwartalnik stał się organem Lubelskiego Oddziału ZLP, subwencjonowanym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Od powstania Polski Ludowej wyszły drukiem prace: Feliksa Arszkiewicza, Marii Bechzyce-Rudnickiej, Kazimierza A. Jaworskiego, Eugeniusza Gołębiewskiego, Józefa N. Kłosowskiego, Heleny Platta. Ostatnio największymi osiągnięciami indywidualnymi są: poemat Konrada Bielskiego „38 równoleżnik”, powieść J. N. Kłosowskiego „Czarna wiosna”, „Opowiadania Indyjskie” Jerzego Krzysztonia i powieść E. Gołębiewskiego „Kuznica ponikowska”.



# Syte przednówki w Kodeńcu

Gdyby nie spotkanie z Anną, nie widziałbym Kodeńca. Spostrzegłem ją w lutym na sali Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie. Siedziała uroczysta i sztywna w najładniejszej swojej chustce pomiędzy delegatkami na I Krajowy Zjazd Spółdzielczości Produkcyjnej. Przypadkowo zagadnąłem ją, czy była już w Warszawie.

— Gdzież tam, z Kodeńca do Parczewa kawał drogi. Lublin leży za rzekami i lasami, a Warszawa? Tyle o niej wiem co z głośnika — odparła.



W młodym sadzie Grzegorz Makówka, cioteczny brat Onisima podbięrał pszczołom miód.

— A jak się wam żyje w spółdzielni?

— Dobrze, nie można narzekać. Żal tylko, że tak późno pomyśleli o niej, użyłby człowiek więcej w życiu, bo to co miałam przedtem trudno nazwać życiem. A teraz na starość mało już czasu zostało mi na używanie.

Dopiero wtedy zauważyłem, że spod paradnej chustki wysuwają się białe włosy Anny, mocno kontrastujące z bystrzymi oczyma i żywymi ruchami. Zagubiłem ją później w tłumie delegatek, zapomniałem nazwiska, tylko jej słowa zostały mi w pamięci i budziły chęć przyjrzenia się z bliska życiu Anny.

Jeśli w przyszłości któryś z naszych historyków lub ekonomistów zajmie się dziejami rozwoju spółdzielczości produkcyjnej na Lubelszczyźnie, pierwszą kartę poświęci rodzinnej wsi Anny — Kodeńcu. Chłopi z Kodeńca przed czterema laty postanowili pierwsi w naszym województwie spróbować nowych, socjalistycznych metod gospodarki. Rozpoczynali ze skromnym dobytkiem, na terenie znanym z zacołania gospodarczego. Siedem krów zakupionych i sześć z wkładów, kilkanaście koni, pomieszczenia w opuszczonych, chylących się od starości stodołach i obórkach, a co gorsze licha, nie nawożona od dziesiątków lat ziemia, same mokradła przetykane piaskami — nie zapowiadały łatwych sukcesów.

Spółdzielnię zorganizowali towarzysze Onisima Makówki, członka KPP, który uczył się zasad komunizmu jeszcze podczas Wielkiej Rewolucji Październikowej w szeregach Komсомола, a potem w Kodeńcu skupił

wokół siebie cały sztab chłopów walczących z sanacyjnym uciskiem. Makówka zginął od kuli granatowego policjanta, lecz jego rówieśnicy: Wawryszczuk, Kociuba, Kuresza i Zapasa pamiętali dobrze o co walczyli. W kilkanaście lat po jego śmierci zebrali trzydziestu kilku gospodarzy i założyli spółdzielnię.

Od tego czasu minęły cztery lata. Cicha i senna wieś włodawska zmieniła się nie do poznania. Na rozmakającej wiosną i jesienią drodze za Parczewem maszyny ugniatają żwir, powiat buduje drogę do Kodeńca. W szczerym polu wyrosły dwie wielkie obory, garaż na maszyny, stajnia jest już na wykończeniu, rozpoczęto budowę owczarni i chlewni. Stare stodoły i obórki nawet dla owiec nie wystarczają.

Na fundamentach owczarni pracuje grupa budowlana pod kierunkiem Stefana Tymejczuka. Razem z Kureszą i Tomaszem Mazurkiem ociosują bełki.

— Materiał na owczarnię, tak jakbyśmy mieli — powiada Tymejczuk. Trzeba się spieszyć z robotą, bo gdyby było gotowe, to mielibyśmy świń nie 56 a 100 a owiec nie 200 a 300. Mnoży się szybko dobytek, dwa lata temu było wszystkiego 40 owiec.

Z budowy widać wirujące skrzydła żniwiarek na brzegach łąki zwinie. W Kodeńcu rozpoczęto żniwa trochę później niż w innych okolicach, ponieważ powiat włodawski tworzy wklęsłą miskę nadbużańską i zboża dojrzewają później na wilgotnych gruntach. Za żniwiarkami ciągnie gromada młodych ludzi, a między nimi student Wydziału Geologicznego uniwersytetu w Odessie. Lublinianin — Jerzy Fedak. Przed rokiem ukończył Liceum im. Staszica w Lublinie i wyjechał na studia do Związku Radzieckiego. Zgłosił się jako ochotnik do robót żniwnych i przywiózł ze sobą dwóch kolegów — Mariana Noska z Krakowa oraz Ryszarda Kowalczyka ze Stalinogrodu.

Razem z grupą przyszła wiązać snopy Leokadia Tureńcówna, studentka Akademii Medycznej w Lublinie i jej rówieśnicy ze szkoły zawodowej w Radzynie — dzieci spółdzielców. Z młodzieży uczęszczającej do szkół średnich, zawodowych i na wyższe uczelnie można by w Kodeńcu zorganizować kilka brygad, a przed wojną wyszło stąd wszystkiego dwóch nauczycieli. Rodzice wysypywali się na naukę do ostatniego i nie doczekali się pociechy — młodzi biedowali dalej na bezpłatnych praktykach całymi latami.

Gdy spyaliśmy grupowej, czy z Kodeńca jeździła na zjazd spółdzielczy starsza, szczupła kobieta, klasnęła z zadowoleniem w dłonie. — A jakże, to Anna Łoszak z mojej grupy. Grabi na łąkach siano. W południe zastaniecie ją w domu na obiedzie, ot tam w tym z białymi paskami pod eternitowym dachem. Pobudowała się niedawno w spółdzielni.

Anna nic nie straciła z dawnego rezonu. Opowiedziała mi podczas przerwy obiadowej, jak w 1950 roku budowała nowy dom. Mieszka teraz po ludzku a swego syna kształci w szkole zawodowej. Przedtem żyła z mężem w „zawalisku“ ukrytym z tyłu pomiędzy drzewami. Rozpadała się ze starości chata była ustawiona staroświeckim zwyczajem bokiem do drogi, a kryła pod jednym dachem izbę dla ludzi i oborę dla bydła. Teraz trzyma tam Anna dwie

krowy, kilka owiec i 4 świni. Obok „zawaliska“ ciągnie się zagon z szerokimi liśćmi dyni.

Przed wojną Anna gospodarowała z mężem na siedmiu hektarach i na przednówku zawsze brakowało jej zboża na chleb. Musiała pożyczać u bogatszych.

— Jak można było zbierać więcej, kiedy człowiek uprawy nie znał i nawozów sztucznych nie widział, a swego obornika było mało, jak na lekarstwo. Ledwie jedną krowę można było wyżywić kwaśną trawą. Jak udały się kartofle, to przepadło żyto, albo owies, odrabiało się cały rok za pożyczki. A teraz spółdzielnia ma nawozy, jest obornik, rodzi się tyle, że sama za dniówki dostaje więcej niż zbieraliśmy z mężem. Syna uczę i niejednego poratuję na przednówku. Zresztą, czy tylko ja jedna? Cała biedota z okolicy przychodzi do spółdzielców po pomoc, bo są w okolicy bezrolni i dwuhektarowcy. A jakżeż mogą żyć na dwóch, kiedy ja na siedmiu nie mogłam. Anna Mysiura pożyczyla w tym roku bratu Aleksandrowi słomy, bo nie ma co podścielić pod bydło. Spółdzielnia zbiera zawsze o kilka metrów więcej z hektara, słomy ma pod dostatkiem, to wypożycza i gospodarze zwracają ją w oborniku. Dawny przewodniczący Wawryszczuk pół swojego przydziału dał chłopom, tak samo Grzegorz Makówka ratował ludzi z Zaliszcza, kiedy przyjechali prosić o pomoc.

Anna miała w tamtym roku dwieście kilkadziesiąt dniówek. Zboża dostała więcej niż mogła zebrać na dawnej gospodarce. W swojej zagrodzie karmi dwie krowy, kilka owiec i 4 tuczniki.

— Może nie wierzycie? — chwytając wiadro z karmą i prowadzi nas pod „zawalisko“. Oswojone tuczniki podchodzą jak psy do wiadra i piją.

Anna wspomina dawne czasy. — W 1944 roku mój stary wbrał się do Parczewa i wpadł hitlerowcom w ręce. Zastrzelili w lesie, a ja zostałam z chłopcem sama jak oalec. Czekala mnie nędza, odrobki na cudzych zagonach, a chłopak musiałby parobkować zamiast uczyć się. Wzięcia wtedy nie było dla kobiet żadnego. Dlatego, że założyli spółdzielnię, żyję jak prawdziwa gospodyni.

Drogą idzie spółdzielcze bydło na pastwisko, rozpraszając naokoło całe chmury kurzu. Gładkie i lśniące grzbiety suną zbitą ławą.

— Sto sztuk — krzyczy Anna. Niech mi kto powie, że nie moje!

Trochę dalej kotłuje się na wiejskiej ulicy od kudłatych owiec.

— Dwieście spółdzielczych — krzyczy Anna, chociaż musi przy tym lyknać haust kurzu. — A policzcie jeszcze te w zagrodach i po dwie krów — jak u mnie. Są tacy co hodują i po siedem świń.

Myśleliście na pewno w Lublinie, że wiejska baba, ot tak sobie miele językiem, ale w Kodeńcu widziacie na własne oczy, że mówiłam prawdę. Nigdzie mi tak nie będzie jak w spółdzielni. Sto lat życia za to założycielom i Makówce. Zresztą czy mnie jednej jest dobrze? Blisko mnie mieszka wdowa i postawiła sobie w spółdzielni nową obórkę. Widzą to ludzie, po warszawskim zjeździe przyszło znowu 15 nowych członków. Zaczynało 30 rodzin, a teraz jest nas do 80-ciu.

— Dobrze musieliście agitować po powrocie ze zjazdu.

— Mówiłam prawdę jak było. Niektórzy myśleli, że w kraju poszła do spółdzielni taka mała garstka jak tutaj w Kodeńcu, a tam były tysiące samych delegatów. Zrozumieli, że topnieje gromada tych co jeszcze czekają, a ja im wciąż swoje: Będziecie później żałować jak ja, że za późno przyszliście do głowy po rozum, za mało uźwiecie na starość. No i pomaga. Na początku do spółdzielni należała czwarta część wsi, teraz czwarta część czeka jeszcze, nie wiadomo na co, a trzy czwarte z nami.

W młodym sadzie Grzegorz Makówka, cioteczny brat Onisima, pod bierał pszczołom miód z pomocą praktykantek ze Szkoły Rolniczej w Kljanach. Rzucił stanowisko agronoma przy GRN, by pokierować fachową gospodarką w spółdzielni. W górze brzęczały pszczoły, na dole ścieliła się słodka woń wędzących pokosów wyki i mieszała z zapachem ściekającego do beczki miodu z płatów woskowiny.

— Czegoż nam więcej potrzeba? — mówi Anna i śmieje się jakby miała nie lat pięćdziesiąt, a dwadzieścia pięć. Pytacie, czy starczy mi sił do roboty w spółdzielni i zagrodzie. Jeszcze dwa razy tyle dobytku obrobiłabym u siebie i nie zaniedbała dniówek na wspólnym. Synowi kupiłam nowe ubranie i rower, państwu oddałam 400 litrów mleka, zostało tylko sto do rocznego planu, w zeszłym roku sprzeda-

łam pięć tuczników w tym już trzy...

W biurze pokazali nam portret młodego mężczyzny w złożonych ramach. — To zdjęcie Onisima Makówki, co poległ za nasze sprawy. Spółdzielnia w Kodeńcu nosi Jego imię. Jakżeby się cieszył, gdyby widział jak gospodarują...

Zdjęcia: Kazimierz Wierucki  
Tekst: M. Ruta



Na fundamentach owczarni pracuje grupa budowlana pod kierownictwem Stefana Tymejczuka



Razem z grupą przyszła wiązać snopy jej córka Leokadia Tureńcówna (druga z lewej)...



Drogą idzie spółdzielcze bydło na pastwisko, rozpraszając naokoło całe chmury kurzu...



Trochę dalej kotłuje się na wiejskiej ulicy od kudłatych owiec...



Anna chwytła wiadro z karmą i prowadzi nas pod „zawalisko“. Oswojone tuczniki, podchodzą jak psy do wiadra i piją.